

R23/53

W NUMERZE:

T. ATKINS — Tydzień w świecie; M. GRYFIN — Spółdzielca Franciszek Cioroch o swej pomocy dla Korei;
J. KUCZYŃSKI — Rewolucjonista nauki i jego uczeń; W. JAZDŻYŃSKI — Korzec „odgrywa sztukę”;
S. KRZEMIEN — O powieściach Wandy Melcer; T. KARPOWICZ — O zbójniku co równał siał;
C. MORCINEK — Za przykładem Stachanowa; A. SZARSKI — Niezapomniane dni Kongresu;
J. K. MACIEJEWSKI — Zespół Krajewskiego; W. ŻUKROWSKI — Obrachunki wrzesniowe;
P. PIGWA — Nauka zdobywa gromady; B. LESMAN — Tędy droga do przebudowy;
W. BAJEROWICZ — Przełomowy czas; L. RUBACH — Wielka bitwa o wodę;
W. DRYGAS — Kłopoty zootechnika; A. HUK — Obalenie przesądów;

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 6 września 1953 r.

Nr 36 (422)

WOJCIECH SMUŁA

Mądra księga nowego

Swoją drogą śmieszna rzecz, jak ciężko ludzi przekonać do „nowego”, nawet wtedy, gdy to „nowe” jest tak zrozumiałe, jak mądra księga. I trudno nieraz pojąć, czemu ludzie w mądrej księdze doszukują się przed czasem pustych lub zaklejonnych stronnic.

Kiedy Franciszek Kiciński zwierzył się sąsiadom ze swych zamiarów powiększenia hodowli do trzech krów i czternastu tuczników — podniósł się w Sadowcu ogromny śmiech. Jak powiat wieluniński — powiatem nie było tu takiego śmiechka, co by na takim gospodarstwie próbował wyżyć tylu gadzin bez strachu, aby same mu nie być przez nią pożarty razem ze strzechą na chatupie i domowymi muchami.

Kiciński tłumaczył: zgłóże trwałą bazę paszową.

— Jaką znowu bazę? — pytano. — No, wiecie, to będzie taka zielona taśma. Z tej taśmy przez cały równinny rok płynąć będą dla inwentarza zielonki. Widziałem ja taką taśmę na Wiśle, była różnokolorowa. Tam płynęły barki z węglem, cementem, żelazem... Dla miast i wsi!

— A na czym ty tę bazę założysz?

— Na czym? Na rezerwach! W księżkach pisze, moi drodzy, że nawet w takim niewielkim, jak moje, gospodarstwie tkwią rezerwy. Ja te rezerwy wydobęde, o tak... — demonstrował plastycznie przy pomocy rąk, jakby podważał łopata skibę spalonego ugoru.

— Ho, ho... — pokpiwano — ziemia to nie kasa ogniotrwała pana dziedzica, co z niej brat — ile chciał a już do takiej ziemi, jak twoja, to żaden klucz nie pasuje. Miarkuj dobrze, Kiciński, co byś głupstwa nie strzelił. Widział to kto trzej krowy i czternaście świniaków?

Sa chwile, w których trzeba przykucać i wyczelekać. Czasami należy się zacząć i siedzieć cichutko, jak myśz pod młotą. Tak uczynił Kiciński. Któregoś z owych słotnych wieczorów jesiennych otoczył się księżkami, wziął do ręki ołówek i przeprowadził w cichociśni usadzoną kalkulację swych potrzeb paszowych. Gruby zeszyt w tekturowej oprawie zapchnął się cyframi. Niepokoiły one trochę Kicińskiego. Wyślizgiwały się spod ołówka duże i bruczate — trzy i czterocyfrowe. Takimi cyframi Kiciński, jak żyje, nigdy nie operował. O przepaszam! Trzymała się go od dawien dawna jedna taka trzycyfrowa liczba z przecinkiem po środku i jak dotąd przysparzała wiele kłopotów. Jaka to była ta liczba? Ano, ta, co ją wymieniał przy każdym spisie, albo kreślił obok swego nazwiska: trzy przecinek osiemdziesiąt! To znaczy 3 hekt y 80 arów! Tyle, ile mierzy jego gospodarstwo, przysiadła okrzakiem na lekko wzniesionym garbie, na „wydmuchowisku” — jak mawiają ludziska.

Była to jednak cyfra nie budząca, jak dotąd, żadnych wątpliwości: ani nie urosnie, ani z niej nic nie ubywa! A jednak teraz, wciskając ołówek w białe stronicze zeszytu duże i bruczate, na podobieństwo dobrze spasionych tuczników — cyferki, pojął nie bez zdziwienia, że przestął już mierzyć tamtą starą miarą „3,80 ha”, że ziemia rościąca mu się, jak guma na wszystkich stronach. Byłaby to jakowas złudza?

Kiedy postawił wreszcie ostatnią kropkę i opatrzył swój zeszyt wielomówiącym napisem: „Bilans paszowy Franciszka Kicińskiego na rok 1953” — pomyślał jeszcze przez chwilę, a potem w nagłym postanowieniu położył u dołu drukowane motto: „Wszystkie rezerwy na front!”. Od tego momentu sprawa była przesdzona. Franciszek Kiciński zbierał się do szturmu!

Jeszcze tej samej jesieni, na dobrym stanowisku po rzepaku, zaczął na paszę zieloną 20 arów żyta. Rosło ładnie. Część tego żyta podpedził na wiosnę saletry, aby można je było wcześniej skosić — część pozostawił jako rezerwę na dalsze tygodnie. 25 kwietnia wstąpił z kosą w saletrowane żyto. Krowy dostały najpierw po 10 kg zielonki, potem po 15 kg, a po kilkunastu dniach już po 25 kg. Mleka przybywało z każdym dniem, tak jakby się krowy drugi raz wycieliły.

W świadomości ludzi z Sadowca nastąpił ważki przełom zaledwie kilka tygodni temu. Stalo się to wówczas, gdy Kiciński zaproponował chłopom manifestacyjną odsadę ziarna do punktu skupu. Tym razem nikt nie oponował. Pojechał wszyscy, jak jeden mąż. A po drodze na punkt raz po raz dosiadał się któryś na furmanek Kicińskiego i długo z nim konferował. Padaly jakieś cyfry, Kiciński zataczał ołówek szerokie kregi, jakby chciał zgarnąć do notesu palce promienie słońca. Wrócili z punktu zmeczeni, ale z wesolą w sercach. Największy powód do radości miał Kiciński: oto korzystając z jego rad i wskazówek Kubera, Konicznycy, Mostowski, Pęczak i Mitygacz postanowili natychmiast przystąpić do budowy urządzeń dla przymowania obornika, a w przyszłym roku założyć zielone taśmy i silosy. Urzeki ich sposób nowoczesnego gospodarowania.

Jest przecież w gospodarowaniu Kicińskiego coś z mądrej księgi. Nie ma w niej ani pustych, ani zaklejonnych stronnic. I swoją drogą śmieszna rzecz, jak trudno było przekonać ludzi z Sadowca, że księgę tę wystarczy otworzyć, aby zrozumieć wszystko! Otworzył ja Kiciński na Zjeździe Przemysłowców Chłopów i Dożynkach w Szczecinie.

Wielonarząca ręką zdziwione miny: — Cóż wy, Kiciński, rzeczek z mlekiem odkruliście? Inni dopiero za-

czeli odstawić, a wy już z planem rocznym w kieszeni...

Kiciński nie chwiliowo nie mówił. Bo i po co? Przekonał się sam, kiedy rozhuśta swoją zieloną taśmę, kiedy zapatrzył się w nią z takim samym nabożeństwem, z jakim on śledził różnokolorowy strumień barek na Wiśle. W połowie maja wyprowadził swoje krowy na kwatrowiska i lucernie. Tej lucerny miał 24 ary; 18 arów starszej, trzyletniej i 6 arów zeszłorocznej. Była to doskonała pasza. Krowy pędziły mleko — tucznikom narastało sadła. Wazyl świniaki przez pewien czas i skonstatował z zadowoleniem, że przy dawaniu im do karmy — do ziemniaków i ospy — zielonek, przysatły na wadze po 80 dkg dziennie. To dobrze, niech rosną! Będzie wcześniej odstawić!

15 czerwca, tak jak to sobie zaplanował, otworzył Kiciński dla bydła kwatrowiska na 12 arach wydki. Natomiast w lipcu skarmiał mieszaną. Przygotował jej 10 arów, z tym, że 5 arów zasiał później, aby krowy miały stać, dopływ świeżej paszy przez cały miesiąc. Potem przystąpił do drugiego pokosu lucerny.

To była prawdziwa obfita, szczerda zielona taśma. Kiciński zaglądał raz za razem do swego bilansu: co dalej? Teraz wypadają popolony. Na dalsze tygodnie żywienia. Z rozmachem wszedł w pole i siał: wykę, tulin pastewny, trochę owsa, trochę seradeli i oczywiście peluszek. W jeden dzień obsiał 56 arów. Starczy na zielone i zostanie na siano!

Ale i o ziemie trzeba pamiętać. Jak to tam jest w tym jego bilansie? Aha, dwa silosy, a do każdego z nich po 10 wozów liści buraczanych, tulinu, kapusty pastewnej i siana. Jeżeli chodzi o siano, to ma go pod dostatkiem. Na 35 arach założył przecież na polu sztuczna łąkę: mieszaninę koniżyny z trawami szlachetnymi. Łąkę wynawozili jesienią dobrze rozłożony, dwuletnim kompostem. Zarówno pierwszy, jak i drugi porost trawy był bardzo gęsty. A przecież Pęczak się śmiał: nie szkoda wam, Kiciński, żyłta? Kiciński odpowiadał: nie szkoda, bo idzie o krowki! No i kto się teraz śmieje? Pęczak zebrał z 35 arów — niecałe 4 kwintali żyta, Kiciński — przeszło 25 kwintali dobowego siana.

Z obornikiem było tak samo. Kiedy Kiciński rozpoczął budowę wzorowego urządzenia dla przymowania obornika — śmiał się z kolei Kubera — po co wam te koszty? Po co i bez basenu śmierdzi tak samo, choćbyście perfumy skropili.

No i kto się teraz śmieje? Kiciński dobrze wypraktykował, że wskutek złego przechowywania obornika traci się od jednej sztuki do drugiego inwentarza mniej więcej tyle azotu, ile znajduje się w 100 kg saletry i tyle potasu, ile jest w 50 kg, czterdziestoprocentowej soli potasowej. Zapobieżenie tym stratom dało mu od jednej krowy wyższe plonów, dochodzącą do 2,5 kwintala zboża.

W świadomości ludzi z Sadowca nastąpił ważki przełom zaledwie kilka tygodni temu. Stalo się to wówczas, gdy Kiciński zaproponował chłopom manifestacyjną odsadę ziarna do punktu skupu. Tym razem nikt nie oponował. Pojechał wszyscy, jak jeden mąż. A po drodze na punkt raz po raz dosiadał się któryś na furmanek Kicińskiego i długo z nim konferował. Padaly jakieś cyfry, Kiciński zataczał ołówek szerokie kregi, jakby chciał zgarnąć do notesu palce promienie słońca. Wrócili z punktu zmeczeni, ale z wesolą w sercach. Największy powód do radości miał Kiciński: oto korzystając z jego rad i wskazówek Kubera, Konicznycy, Mostowski, Pęczak i Mitygacz postanowili natychmiast przystąpić do budowy urządzeń dla przymowania obornika, a w przyszłym roku założyć zielone taśmy i silosy. Urzeki ich sposób nowoczesnego gospodarowania.

Jest przecież w gospodarowaniu Kicińskiego coś z mądrej księgi. Nie ma w niej ani pustych, ani zaklejonnych stronnic. I swoją drogą śmieszna rzecz, jak trudno było przekonać ludzi z Sadowca, że księgę tę wystarczy otworzyć, aby zrozumieć wszystko! Otworzył ja Kiciński na Zjeździe Przemysłowców Chłopów i Dożynkach w Szczecinie.

Wielonarząca ręką zdziwione miny: — Cóż wy, Kiciński, rzeczek z mlekiem odkruliście? Inni dopiero za-

Wojciech Smuła



SERGIUSZ JASKIEWICZ

ŁOWICKIE DOŻYŃKI

JAK grzyby po deszczu wyrosły pawilony na 5 ha łowickich błoni w łuku Bzury. Dzień i noc trwała praca, w promieniach słońca i w deszczu — aż nieuzytowy teren błoni w ciągu kilku zaledwie dni zamieniono w miasteczko, które w dożynkową niedzielę zaludniło 10.000 zwiedzających.

W wielu dziesiątkach pawilonów spółdzielni produkcyjnych, PGR-ów, POM-ów zgromadzone tysiące eksponatów wzorowych upraw zbożowych, warzywnych, sadowniczych — dalej żywe okazy hodowli, jeszcze dalej maszyny uprawowe i sprzętowe, obok — urządzenia wzorowych świetlic, przedszkoli, Technikum Rolniczego w Blichu, wreszcie pawilon prasy i książki.

Setki lat musiał czekać Łowicz, by doczekać się takiego święta, takiej oprawy codziennej pracy ludu Ziemi Łowickiej, takiej wystawy...

Gromady ludzi zatrzymały się przy stoiskach, podziwiając wystawione zbiory, piękne dziewczęta z barwnymi wieńcami rozpoczynały dożynkową paradę radości.

Gdy potok ludzki dosięgnął kiermaszowej części Wystawy gdzie GSy i PSS prezentowały i oferowały bogactwo artykułów przemysłowych i spożywczych — a w takt ludowych melodii, w radosny tan ruszyły zabawione pary — zaczęli mnie pewien chłop z sąsiedniego powiatu wyraźnie wzburzony i zaczął mówić.

*

— O Jackowicach toście w tej waszej „Wsi” napisali, nie można powiedzieć... O ludziach, o krowach, o bykach, o ziarnie i sianie — a o nas, o Polichnie, ani dudu... A byliście, notowaliście, szumu narobiliście tyle, jakby co najmniej była w przygotowaniu specjalny numer dla

Polichna. Ej — nieładnie, nieładnie, redaktorze. I jak wam tu wierzyć?

— Łowicz toście zobaczyli z wierzchu i od spodu, jak jakiś „dochter”, a Piotrków i piotrkowska ziemia, to dla was co, nieważna?

— Do mieszkań w Jackowicach toście wchodzili, dzieciśka oglądali i łaby; że Szkołapiakowej cebuli na przyzgodowej działce i jego 4.000 dochodu prawieście całą powieść zrobili — a o naszym Bąbolu, co kiedyś miał 1,6 ha, 6 dzieci i walcącą się w gruzach kurną lepiankę, a dziś (będąc w polichnowskiej spółdzielni) ma jasny, nowy dom i pracę i zarobek — to pisać nie warto, czy co?

— „Spółdzielnia w natarciu” powiadacie o Jackowicach i słusznie, ale my to co? Nie w natarciu, pytani się was? A niech was dunder świśnie, jak wy tego u nas zobaczycie nie chcecie.

— Ze obora jest chluba Jackowic toście bystro spostrzegli, a że nasze 41 świń to chluba Polichna — uważacie, że nie ważne? I nie ważne może dla was, żeśmy świńiaków 20 zakontraktowali, 14 już odprowadzili, jeszcze 6 tylko mamy do oddania a zobowiązaliśmy się i oddamy państwu 100 proc. zakontraktowanej trzody ponad plan, przed zakończeniem roku finansowego? Nieważne, co? To nie spółdzielcze natarcie dla was, nie?..

— Jackowickie trudności z węglem, troskę o zarodową oborę i trudności jej tworzenia toście zauważyli, zapamiętali, a że my to ta sama polichnowska spółdzielnia, która w pierwszym roku istnienia powodziem zniszczeniu uległa, z 13 ha zaledwie 325 q kartofli w następstwie zebrała i ta co w pierwszym roku w banku na koncie 18 zł miała — a teraz, po uregulowaniu pierwszych rat wszystkich podatków ma 11.800 złotych na inwestycje, toście zanotować nie rzucyli, he?

Z listów do chłopów

Do Michała Hery

chłopa - spółdzielcy z powiatu chojeńskiego

„Posłuchałem plotek wrogów. Mówili oni, że cały dochód spółdzielcy zabierze państwo. Dziś zobaczyłem, że to nieprawda”. (Z przemówienia na zebraniu spółdzielczym).

Wiem, było ciężko. A przecież już się nauczyłeś

Wymawiać słowo „nasze”. Cofnąłeś się „Moje!”

I zaparłeś się. Zawistnie, na siłę,

Kłamiąc sobie samemu. To „moje” — nie tylko twoje.

Przyszyj długie wieczory. Łamał się ołówek,

Gdy pod cyfr kolumną sumował: gorycz.

I po miesiącach spostrzegłeś, że najprostszy rachunek,

To rachunek sumienia. Cierpki i surowy.

Buchalterię swoją jak wyrazić w skrócie?

Ma: osiem hektarów. Winien: obfitość ziemi żyznej.

Ma: zboża — ot, że ledwo. Winien: szczecińskiej Hucie.

Ma: wolność sobiepańską. Winien: Ojczyźnie.

I w końcu — Ma: dochód taki a taki.

Winien: tyle i tyle.

Cyferka nieduża. Jej ziarno rozdziobią ptaki.

Cyferka lekka, rzekłbyś — motylek.

Ni sobie — w końcu — ni ludziom. Wieczory — samotne,

Wiatr tylko hula zły, że plot w drzazgi był łamał.

I nadszedł dzień, że wróciłeś. Rzekłbyś głosem smutnym:

Przyjmijcie mnie z powrotem. Wróg mnie okłamał.

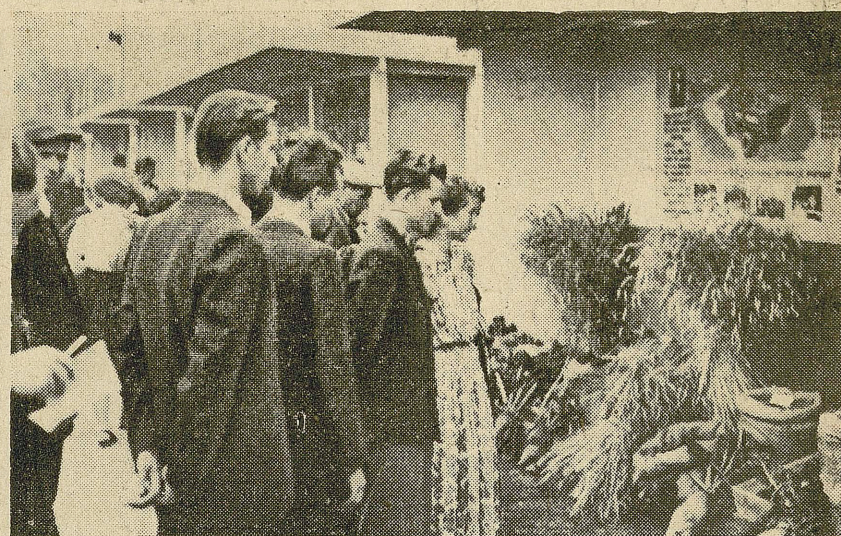
Michale Hero! Trudno tobie i gorzko zrozumieć,

Że się było rok własnego sumienia wrogiem.

Żeś słabość swoją pokonał — twoje prawo do dumy.

Zapisz w zeszycie: Ma — przyszłość. Winien — wspólną drogę.

WITOLD WIRPSZA



SERGIUSZ JASKIEWICZ

— Jackowickie natarcie dalibóg pięknie opisaliście, a naszej polichnowskiej wojny o rzepak, a naszego boju o paszę — nie widzicie?

— Szkołapiaków i Cieślaków dniówkę przesłaniają wam wszystko — a jak u nas Dróżdz, agitował za rozwojem spółdzielni? Gdy kulackie anonimy otrzymywał z groźbami — rozeźlił się i na wariata babom niewierzącym tłumaczył, że dniówkę 15 złotych na pierwszym, najgorszym etapie gwarantuje i jeśli się myli, powieść się da, to tego w Waszej „Wsi” nie notujecie? Nie warto? Co? A że 17.50 wyszło i Dróżdza wieść nikt nie zamiarował... a że lato 22 złotych dziennie wyniesie dniówkę, to czy w tym „wzrostu materialnego dobrobytu świadczącego o ciągłym wzroście stopy życiowej” nie widzicie tak, jak w Lebedowej elegancji, zegarku i „posobie bycia i rozmowy”? A dlaczego?

— Jackowicki węgiel was boli i słusznie. A dlaczego pytam, to, że my kafe mamy, lokal dajemy, świetlicę dla ZMP i całej gromady ufundować chcemy, ale do tych kafi na budowę pieca groziwa by się przydało a dostać nic znikąd nie możemy — nie jest dla was momentem godnym uwagi? Cały remont przeprowadziliśmy sami, własnymi siłami, ZMP-owska organizacja usunęła gruz z budowy — jeszcze tylko ten piec...

— Spółdzielnia w natarciu, powiadacie... Macie rację. Jesteśmy pełni uznania dla Jackowic, ale powiadamy: męły już te czasy, kiedy „natarcie” prowadzono na wąskich odcinkach frontu. Każda spółdzielnia prowadzi dziś w pewnym sensie natarcie — nie tylko w Łowickiem Tak samo w Olsztynie, jak w piotrkowskiej ziemi. Piękny jest przykład Wyborowa, ale czy wy w prasie nie powinniście pisać o typowości sprawy? Bo dopóki piszecie o Jackowicach, jako takich, to my mamy pretensję, żebyście i o nas pisali. U nas w Kamocinku powstała spółdzielnia dzięki polichnowskiemu przykładowi! Tow. Nawara przywołał dwie kobiety stamtąd do Polichna i też nie wiedząc kiedy „stał się agitorem”, zupełnie jak ci w Jackowicach. I dobrym widocznie skoro kobiety te, zobaczywszy wyniki polichnowskiej pracy kolektywnej, pomogły przełamać ostatnie trudności i w kilka dni po tej bytności u nas powstała w Kamocinku spółdzielnia! Podobnie rzecz się miała w Dziwulinach. Jackowice nie mają tu monopolu — ot co! I to powinniście byli w swoim artykule podkreślić! Byłby on wtedy pełniejszy i głębszy, a tak może na upartej wyglądać, że z wielkim trudem udało się wam w jednym tylko Jackowicach wyszerzać ślad politycznej roboty spółdzielców, nie widząc aktywności spółdzielczego w ogóle!

— Tak dużo wiecie, a czyście zapomnieli jaka była nasza droga do spółdzielni? Jak Dróżdz chodził od chaty do chaty, gdy kulacy, jak tam, w Łowickiem „karmili” chłopów bzdurą nadzwaną plotką? Albo jak postanowiliśmy (i dotrzyaliśmy) że w przyszłym roku będziemy pierwsi w powiecie? A tego jak byłby u nas stary Janas — wiecie o tym dobrze — zdawało się, wróg spółdzielni... I był sobie stary Czapała, jeden z założycieli spółdzielni i pierwszych aktywistów spółdzielczych... Otóż stary Janas miał syna, a stary Czapała córkę. I — patrzcie — wziął młody Janas córkę „kolchoznika”, aż się stary bocył... A dziś? Dziś już zmienił się i stary Janas, innym patrzy okiem na synowskiego „mezajlana”. Tak to zmieniają się ludzie w Polichnie!..

— My wychodzimy na Wystawę w Piotrkowie za kilka dni z wynikiem produkcji polnej, właściwego wykorzystania ziemi, prac melioracyjnych, z naszym budownictwem, z naszym przedszkolem wreszcie, i

znów — widzicie — to przedszkole, zauważyliście sami, że jest ono typowym przykładem działania spółdzielni na rzecz całej gromady, bo przecież 4/5 działu rekrutuje się z grona pozacłonkowskiego, czyli w ten sposób okazujemy czynną pomoc chłopom indywidualnym, oszczędzając im troski o dzieci wczasie robót w polu. 10 zł miesięczne zaledwie płaci rodzina za dziecko. Przedszkole utrzymuje Wydział Oświaty, rodzice dzieci i spółdzielnia w każdej potrzebie dodaje od siebie warzywa, ziemniaki itp. Lokal dała spółdzielnia. Remont też był nasz. I przecież to wszystko widzicie! Zwróciście też sami uwagę na Danutę Piecyk, córkę przewodniczącego spółdzielni z Glupic, która jest u nas kierowniczką, wychowawczynią, nauczycielką i wszystkim w przedszkolu prócz kucharki, bo tę funkcję pełni kto inny. Próbowałicie nawet bodaj obiada w tym przedszkolu, bawiliście się z dziećmi, robiliście fotografie no i co? Kto o tym wie? Kto widział te fotografie? A przecież nawet wzorowe łowickie Jackowice na tym polu mają osiągnięcia mniejsze, przedszkola u nich brak — więc czy nie warto było wspomnieć o tym w artykule? Jeszcze ludzie pomyślą, że jak w takich Jackowicach nie ma przedszkola to już chyba nigdzie! Reklamy to my nie potrzebujemy, ale jak się już przyjeżdża i coś bada to chyba po to, żeby napisać a nie po to, żeby tylko delegację służbową ostemplować. A fotografie chociaż nam samymi byście przysłali, ot, to byłoby cię naprawdę porządnym człowiekiem!

— Te Szachogluchowicz czy jak jej tam, z piotrkowskiego POM-u toście zaznaczyli w artykule o „spółdzielni w natarciu”. A nie pamiętacie to, jakżeście z naszym Krogulskim z Piotrkowskiego POM-u, brzdądzistą przodującą brzdądzą, spłakali się i z Sierantem, traktorzystą, gdy jechali do Meszni pomóc w zbiorach indywidualnym gospodarzom, malorolnej Woś, Kozłowskiej i innym? I wy mówicie, że interesuje was pomoc spółdzielcy, że POM-owska dla indywidualnych rolników!

— Ot dużo by, widzicie, było do napisania. Bo my Jackowicom łowickim życzymy z całego serca coraz lepszych wyników, ale tak po chłopach, po naszymu, powiadamy, że wcale od nich nie chcemy być gorszy i robimy co możemy, żeby dojść do jackowickiego poziomu. Tym bardziej, że z niejednym u nas lepiej, jakżeście się sami przekonali, kiedy byliście u nas, że wspomnieć tylko przedszkole no i — rozwój czytelniczości. To, jak się tam u nas nazywa „nasyconie prasą” i czytelniczość księzek, u nas lepiej wygląda, jak w Jackowicach. Gdyby się Jackowice o tym dowiedziały, że przy całym swoim faktycznym przodownictwie pozostają w tyle za nami w tej dziedzinie — wzięłyby na ambicję, a jak wyście załukowali to swym milczeniem — no to nidi z tego i z tego zadania nie spełnicie, choćby nawet sam wasz naczelny redaktor myślał inaczej...

— Oczywiście, my sobie tak chwila myślimy, żeście o naszych sprawach dotąd nie napisali tylko dlatego, że my dopiero we wrześniu zżyjemy u nas w Piotrkowie Wystawę taką, jak teraz w Łowiczu. Może wyście sobie zaplanowali że napiszecie jeszcze raz coś o tych wystawach i wtedy na nas przyjdzie kolej... Ale kto was wie i kto za wami trafi?..

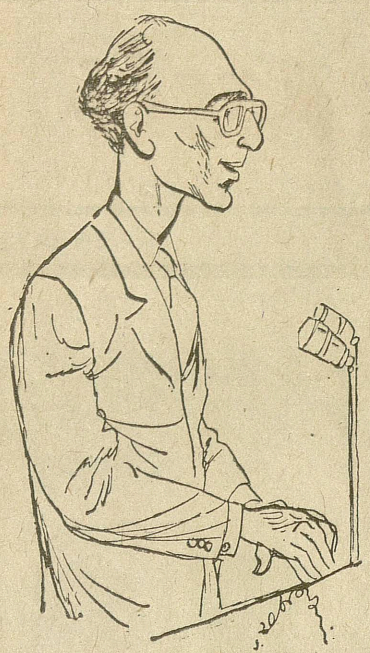
*

Ten głos ob. Czuby, członka spółdzielni produkcyjnej w Polichnie, Dróżdza — jej przewodniczącego, i Siekaczynskiego, który „nie lubi propagandy” dźwiczę mi wciąż jeszcze w uszach.

Sergiusz Jaskiewicz

ANDRZEJ SZARSKI

NIEZAPOMNIANE DNI KONGRESU



Przemawia przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Związku Studentów — Bereanu
rys. J. Zebrowski

O d rana autokary przywoziły na Bielany do AWF rozbawionych i roześmianych delegatów. Grupy młodzieży rozsiadły się na trawnikach. Wielki dziedziniec mienił się wszystkimi barwami tęczy: tu różówi się strój delegata Tybetu, tam zabłysły białe kołorowe sarongi Hindusek, a gdzie indziej ukazał się koloru khaki mundur żołnierza z Wietnamu. Rozbrzmiewają rozmowy we wszystkich językach świata.

Nie wiele trzeba, by zawrzeć znajomość — wystarczy jedno słowo, jeden uśmiech.

Na sali cisza. Wszyscy słuchają w skupieniu. Giovanni Berlinguer — sekretarz generalny Międzynarodowego Związku Studentów wygłasza sprawozdanie MZS. Obrazuje wstrząsające warunki życia studentów w krajach kapitalistycznych, mówi o niedopuszczaniu na studia młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego, o walce studentów o demokratyzację studiów i poprawę warunków bytu.

— „We Francji — mówi G. Berlinguer — tylko jeden procent studentów na wydziale pedagogicznym Uniwersytetu Paryskiego pochodzi z rodzin robotniczych, a jeden i jedna dziesiąta procent studentów — z rodzin chłopskich”.

W Szkocji stypendia są tak małe,

BOLESŁAW LESMAN

TEDEY DROGA DO PRZEBUDOWY

H istoria ta zaczęła się w marcu br. od jednego z dziesiątków tysięcy zobowiązań, jakie podejmowano w miastach i wsiach całej Polski po śmierci Józefa Stalina. Grupa asystentów Instytutu Medycznego Pracy Łódzkiej Akademii Medycznej postanowiła wówczas otoczyć opieką lekarską jedną z gmin w województwie łódzkim. Zobowiązanie brzmiało: uruchomić ośrodek zdrowia, do którego w każdą niedzielę przyjeżdżaliby kilku lekarzy różnych specjalności.

Po długich rozważaniach wybór padł na gminę Żelechlin w powiecie rawsko-mazowieckim. Daleko od największych ośrodków przemysłowych, trudna komunikacja, 10 km. do najbliższej stacji kolejowej, piaszczysta i uboga ziemia oraz rozdrobnienie gospodarstw.

Żelechlin wyglądał mniej więcej tak: W środku wsi stoi masowy, górujący nad całą okolicą kościół; na przeciwko kościoła plebania z wielkim, otoczonym solidnym murem ogrodem; obok, duży, murowany dom parafialny; a dokoła nędza; naskie, po większej części zapadające się ze starości chałupy.

W domu parafialnym mieściła się kiedyś karczma. W marcu, gdy przyjechali członkowie ekipy, dom ten stał opuszczony i powoli zamieniał się w ruinę. Nie było już ani okien, ani drzwi, a dach przeciekał jak wielkie sito. Przewodniczący GRN, Stanisław Poński, ten dom właśnie upatrzył na pomieszczenie dla ośrodka zdrowia.

Remont domu parafialnego przeprowadzono przy pomocy miejscowego aktywu, który został zwerbowany „po linii partyjnej i Rady Narodowej”. Spośród nich też później rekrutowali się pierwsi pacjenci. Powoli zaczęli przychodzić i inni, przede wszystkim kobiety z chorymi dziećmi.

W skład ekipy, której kierownictwo powierzono lekarzowi medycyny, aspirantowi Henrykowi Rafalskiemu, wchodziły lekarze medycyny, stomatolog, magistrowie farmacji, inżynierowie higieny sanitarniej i inni specjaliści oraz 30 słuchaczy wyższych lat studiów o zainteresowaniach naukowych. Jako konsultanci dojeżdżają profesoria Akademii Medycznej.

Ekipa podzieliła się na kilka zespołów o rozmaitych zadaniach. Jeden z nich udziela doraźnej pomocy lekarskiej ludności gminy. Inne badała warunki zdrowotne i komu-

a koszty studiów tak wielkie, że — (mówca cytując broszurę wydaną przez Zrzeszenie Studentów Szkockich w 1953 roku) — „student zależny wyłącznie od stypendium, nawet jeśli nie pali i nie pije, nie uczęszcza do teatrów ani do kin, nie oddaje bielizny do prania, nie strzyże się i nie oddaje obuwia do reperacji, nie czyści zębów, nie goli się, ani się nie myje, czasopisma czyta tylko w czytelniach publicznych, a mieszkanie i utrzymanie ma zapewnione tylko przez 30 tygodni w roku — staje wobec ogromnego deficy-

tu w wysokości około 50 funtów rocznie”.

Ale studenci świata walczą. Referent mówi o strajku 20 tys. „studentów w Peru; o walce studentów Francji o ubezpieczenia; o demonstracjach studentów w Kanadzie”.

— Tak wczoraj, jak i dziś — mówi referent — pracujemy, marząc o piękniejszym, szczęśliwszym i sprawiedliwszym jutrze. Pracujemy dla przyszłości, w której zdobycze kultury staną się własnością ogółu, w której cała ludzkość będzie wol-

na od strachu przed niepewnym jutrem.

Wielka hala, w której odbywa się Kongres, przedzielona jest zasłoną na dwie części. Jedną z nich — większą, zajmuje sala obrad; drugą, mniejszą — pocztą, bufet, stoisko „Cepelli”, kiosk „Międzynarodowej Książki i Prasy”. Ten właśnie kiosk cieszy się wśród delegatów olbrzymim powodzeniem.

Młody skandynawski biolog kupuje książki Lysenki w tłumaczeniu angielskim. Studentka filologii z Francji odchodzi niosąc „Zniwa” Nikołajewej. Delegat Meksyku wraca na salę z całą stertą książek, wśród których można łatwo poznać bordo okładkę hiszpańskiego wydania „Zagadnień leninizmu” Stalina.

Przez pierwsze trzy dni Kongresu sprzedano około 6.000 książek; szczególnie popularne są przekłady radzieckich powieści, literatura polityczna i słowniki.

Piosenka jest międzynarodowym językiem Kongresu. Gdy tylko zbierze się nieco większa grupa delegatów, zaraz rozbrzmiewa śpiew.

Przed rozpoczęciem obrad pod cieniastą wierzbą zebrał się delegaci różnych krajów. Tu błysnę biały burnus Sudańczyka, tam czarna obwieszona dziesiątkami wisiorów i znaczków czapka Włocha.

— Polska! Polska! — skandują delegaci. — Jest to wezwanie, by Polacy śpiewali. Rozlega się melodia „Kukuleczki” a potem „Pochód przyjaźni”.

— Francja! Francja!
— Bułgaria! Bułgaria!

Każdy kraj musi coś zaśpiewać, musi przedstawić się piosenką innym.

Piosenka wszystkich zbliża i łączy.

— Udzielam głosu pani Isabelle Blume, przedstawicielce Światowej Rady Pokoju — mówi przewodniczący sesji. Na sali huragan oklasków. Zebrani słuchają wezwania, aby jeszcze silniej walczyli się do walki o pokój.

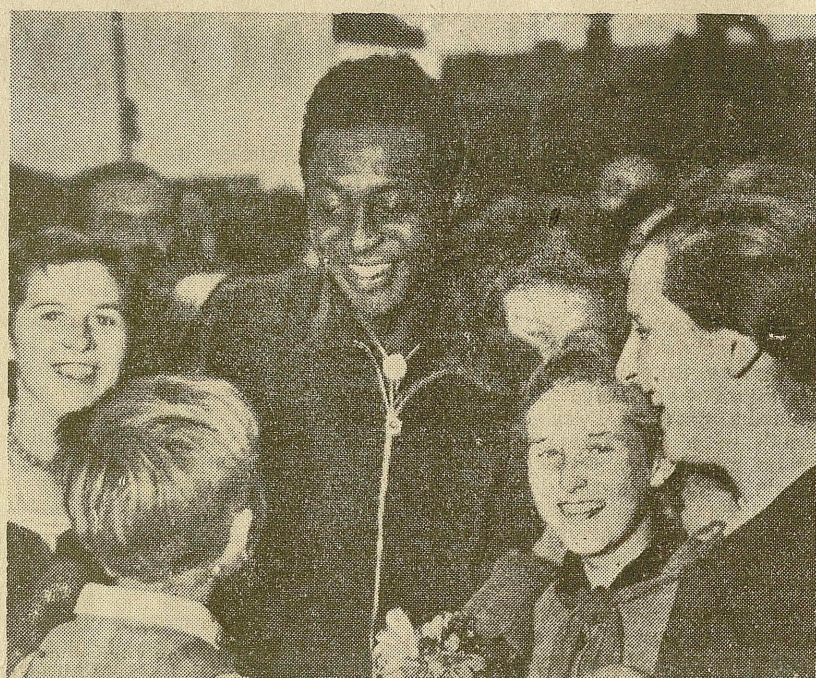
Isabelle Blume nawiązuje do wielkopomnego dzieła Kopernika wskazując, że tak, jak on odważnie walczył przeciw średniowiecznej ciemności, tak dziś studenci, wstępując w jego ślady, powinni walczyć z podżegaczami do nowej wojny.

— Czyż nie widzicie — podkreśla mówczyni — że gdy pójdziemy tą drogą wszyscy razem ręką w rękę: robotnicy, chłopci, studenci, obrońcy pokoju — będziemy mogli dać światu chleb, pokój i wolność.

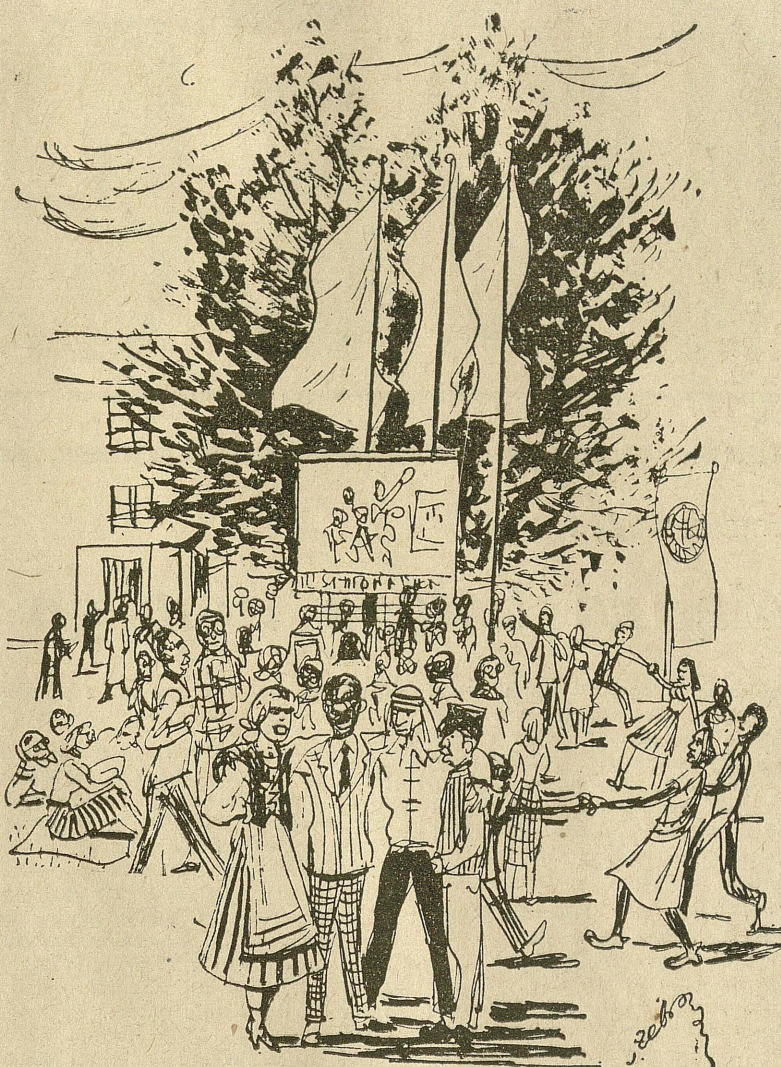
Andrzej Szarski



Powitanie delegacji radzieckiej



Na Kongres przybywają delegaci z dalekiej Południowej Afryki. Młody Murzyn wrzucony jest serdecznym powitanem swoich białych kolegów



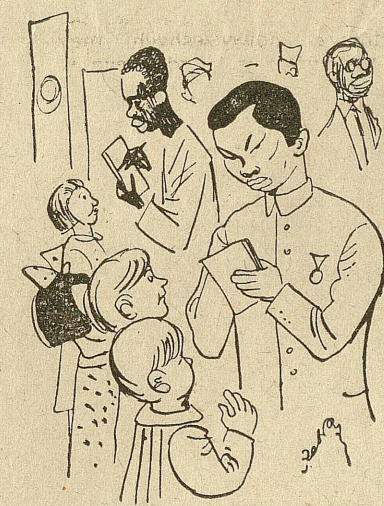
Dziedziniec Akademii Wychowania Fizycznego — miejsce radosnego spotkania
rys. J. Zebrowski

Rozmowy z delegatami

Francuscy miczurinowcy

U nas na wydziale nauk przyrodniczych w Marsylii — mówi mi Jacqueline, członkini delegacji francuskiej — ani słowa o Miczurinie, czy Lysencie nie usłyszę... Kiedy raz kolega spytał profesora, czy czytał dzieła wybrane Miczurina, ten uniósł się gniewem i oświadczył: „Czytałem czy nie, to moja sprawa! Za takie aroganckie pytanie następnym razem usunę pana z sali”.

W tym momencie podszedł do nas Roger, studiujący w Paryżu nauki przyrodnicze.



Tysiące autografów...
rys. J. Zebrowski

— U nas pod tym względem, nie jest lepiej — powiedział. — Oficjalne nauczanie nie uznaje nauki Darwin'a. Istnieje jednak we Francji Towarzystwo Przyjaciół Miczurina. Jego członkami są profesoria, studenci, a nawet niektórzy chłopci. Lczy ono około 3.000 członków. W warunkach polskich nie byłoby to dużo, ale jak na Francję, to zupełnie nieźle.

Towarzystwo wydaje biuletyn popularyzujący darwinizm i zamieszcza przekłady prac radzieckich, jak również prace swych członków. Poza tym organizuje wystawy w różnych miejscowościach. Na tych wystawach chłopci francuscy poznają osiągnięcia radzieckiej nauki rolniczej. Towarzystwo organizuje także odczyty.

Wszystkie te imprezy cieszą się wielką popularnością. Gdy wygłaszałem na wsi odczyty — mówi Roger dalej — sala była zawsze przepelniona.

Poza tym Towarzystwo sprzedaje chłopom ziarno selekcyjne. Dawniej w tym celu sprowadzaliśmy najlepsze ziarno ze Związku Radzieckiego; obecnie rząd zakazał przywozu z ZSRR nawet zboża selekcyjnego.

— Jak widzicie nawet ziarno jest niebezpieczne dla francuskiego rządu — kończy swe uwagi Roger.

Słaby to rząd, co się ziarna boli...

Często głodowałem...

Giovanni Battista Signoroppi mówi:

— Urodziłem się w Kalabrii. Mój ojciec był górnikiem; posiadał również 2 ha ziemi.

Kalabria — to najuboższa prowincja Włoch. Przemysłu tam nie ma; ziemia nieurodzajna; wieś jest straszliwie przeludniona. Chłopi

pracują u obszarników. Ale nawet taką pracę mają tylko w ciągu pięciu miesięcy w roku. A zarobek za 10 godzin pracy nie wystarcza nawet na skromne utrzymanie.

— Nie też dziwnego — zaznacza mój rozmówca — że rzadko kiedy ktoś z rodziny chłopskiej dostaje się na studia. Jak można studiować przy zarobku dziennym 400 lirów, gdy książka kosztuje 4.000?

— Dostałem się na studia — opowiada Signoroppi — tylko dzięki wielu latom ciężkiej pracy. Często głodowałem... Brak środków do życia zmuszał mnie już kilka razy do przerwania nauki. Dlatego kończę dopiero drugi rok studiów, chociaż mam już trzydziestkę na karku...

Lud Senegalski burzy się

Staliśmy przy bufecie i kupowaliśmy papierosy.

— Skąd pochodzisz? — spytał leń.

— Z Senegalu.

— Opowiedz mi o życiu w twoim kraju...

— Nie będzie to wesołe opowiadanie — zaczyna Bauna Fall. — Prawie cała trzynaście milionowa ludność Senegalu żyje z rolnictwa. Trudno to zresztą nazwać życiem; jest to raczej okropna vegetacja. Rolnik jest okradany przez handlarzy, którym oddaje większą część zbiorów. W rezultacie przez 8 miesięcy w roku głoduje. Ludność organizuje masowo polowania na szczyry mimo że spożywanie szczyrego mięsa wywołuje tzw. dżumę. Sawanny z masowymi śmiertelnymi wypadkami.

Chłop w Senegalu (a tak samo jest i w innych koloniach w Afryce) jest tak biedny, że całą jego odzież stanowi koszuła, spado i nic więcej.

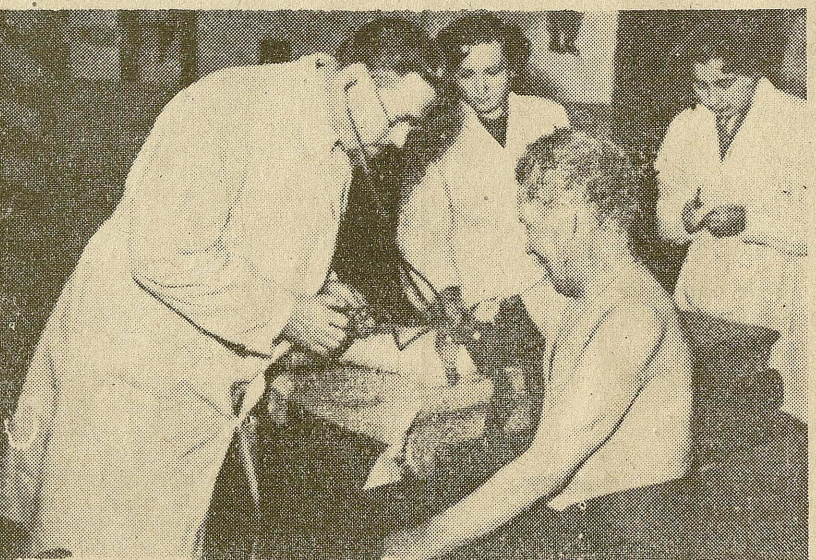


Fall-Bouna, delegat z Senegalu
rys. J. Zebrowski

Rzecz jasna, że o nauce w ogóle nie można mówić. Ze wszystkich afrykańskich kolonii francuskich studiuje we Francji zaledwie 700 studentów. Są to potomkowie tubylczej arystokracji lub urzędników kolonialnych.

— Jeżeli chodzi o mnie — dodaje Bauna Fall — to ojciec mój jest dość wysokim urzędnikiem kolonialnym — szefem kantonu. Dziad mój był królem... Gdybym nie pochodził z arystokracji, nie mógłbym w ogóle studiować.

— Takie porządki w Senegalu głęboko mnie oburzają — kończy Fall. — Solidaryzuję się z walką mojego ludu. Dlatego też wstąpiłem do Demokratycznego Stowarzyszenia Afrykańskiego i będę walczył z uciskiem kolonialnym, póki kraj mój nie stanie się wolny.



Starzy wieśniacy, po raz pierwszy w swoim życiu, spotykają się z tak troskliwą opieką lekarską

ne przekonanie na wsi... Epidemie wśród ludzi wiejskich, niebezpiecznych, (a więc z braku pieniędzy na lekarza prywatnego — przyp. mój B. L.)... robią ogromne spustoszenia. Są wszędzie, gdzie brak w pewnych latach dzieci szkolnych, w pewnych rocznikach rekruta, co spowodowane zostało epidemiami”.

Powszechne jest jeszcze w Żelechlinie leczenie ułtyków w ziele kwasem solnym. Oczywiście, że po kilku takich zabiegach zab zostaje całkowicie zżarty. Usuwanie zębów — to specjalność miejscowego kowala, który po 5 zł. od sztuki, za pomocą narzędzi używanych do kucia koni... oblamuje korony pozo-

dní nawet bez pomocy lekarskiej. Zastrzyk usunął niedomaganie w ciągu kilku godzin.

Kiedy nazajutrz dr Olszewski przyszedł sprawdzić, jak się czuje chora, w drzwiach minął się z księdzem proboszczem. Przy łóżku Kacprzykowej, przed światłem obrazem paliły się dwie świece, ale chora nie miała już zamiaru umierać.

— Cud niepojęty! — wołała unosząc się bez trudu z postania. — Jakby ręką odjął...

Długo tłumaczył dr Olszewski zebranym domownikom i sąsiadom, że tu bez „cudów” się obezbo. I tak wątpliwe jest czy mu ktoś uwie-

Bolesław Lesman

WOJCIECH ZUKROWSKI

OBRACHUNKI WRZESNIOWE

JESIEN niezwykle piękna, sucha i upalna. Warto przypomnieć sobie wydarzenia z ostatniego roku — wydarzenia niepodległości, wydarzenia starannie wówczas ukrywane, przemiecane, zatarte.

W maju trzydziestego dziewiątego roku nadeszła zdradziecka instrukcja do Polskich Zakładów Lotniczych, by wstrzymać montaż maszyn bombardujących typu „Łoś” i „Karaś”, gdyż nie można ich grupować na lotniskach polowych.

Zaczęliśmy więc wojnę obronną mając sześćdziesiąt maszyn bombardujących nowego typu. A Niemcy mieli ich tysiąc osiemset.

W czerwcu trzydziestego dziewiątego roku sprzedaliśmy Anglii i Szwecji nasze działa przeciwlotnicze. Bronieły one Gibraltaru i Maltę, ale brakło ich na drogach odwrotu, gdzie Messerschmidty rozpraszały całe kolumny i masakrały ewakuowaną ludność.

Gdy po prowokacjach hitlerowskich, zajęciach granicznych, skrytobójczych morderstwach dokonywanych na działaczach polskich w Niemczech, 28 sierpnia ogłoszono mobilizację, musieliśmy ją pod naciskiem rządów Anglii i Francji odwołać. „Nie należy drażnić Hitlera, trzeba być cierpliwym” — zalecali szprymierze.

Straciłszy trzy bezcenne dni, mobilizacja odbywała się pod bombami, gdy już na całej szerokości granicy Polski została przełamana.

Strasliwe były skutki „samodzielnej polityki mocarstwowej”. Każdy rok walsztwa u Hitlera pozwalało na głębsze ściśnięcie Polski w faszystowskich objęciach. Rząd sanacyjny przyklaskiwał rozbiorem. Byliśmy skłóceni ze wszystkimi sąsiadami, otaczali nas nienawiść.

Dość wspomnieć Litwę, Czechy, Słowację; a sztab naszej armii chętnie się, że potrafi prowadzić wojnę na dwie strony: defensywną z Niemcami, ofensywną na Związek Radziecki. Dlatego budowano umocnienia na Wschodzie i trzymano w pogotowiu brygady kawalerii.

Już pierwszego dnia zostały zniszczone niemal wszystkie lotniska. Już czwartego dnia sztab generalny utracił zdolność dowodzenia operatywnego. Szóstego dnia została bezpośrednio zagrożona stolica.

Mimo zbrodniczego niedołęstwa wyższych dowódców, braku nowoczesnego sprzętu przeciwpancernego, czołgów i lotnictwa, żołnierze walczyli zaciekle, z bezprzykładnym bohaterstwem. Mimo druzgocącej przewagi technicznej górującą siłą ognia, oddziały hitlerowskie wspierane czołgami i samobieżnymi działami, ponosiły poważne straty. „Spacer przez Polskę”, jak butnie kampanie wrzesniową w swoich publikacjach nazywali Niemcy, kosztował ich wiele krwi.

Po klęsce nadeszła chwila obrachunku. Brakło bronii, na którą do narodu sanacja wyludzała ostatni grosz. Pokazało się jawnie, że zostaliśmy wydani wrogowi, okłamanym, zdradzeni. Jednak klęska podzielała czołg. Już naród nie dał się uspić, zakrzyknąć — zaczęliśmy czujnie patrzeć na ręce, które próbowały brudne interesy klasowe przysłonić skrawionym sztandarem.

Gorzką, ale jakże trafnie w swojej powieści nazwał Putnamem Polskę: „kraik na podpałkę”. Tak, byliśmy przez obce, anonimowe potęgi kapitalistycznej zmywy skazani „na podpałkę”. Zawadziliśmy w Europie, staliśmy na drodze, chimerzy, ziemi, nieodpowiedzialni, trzeba nas było „podporządkować” wielkiej, zaborczej polityce faszystów.

Pięć lat za drutami obozów uczono nas czujności i trzeźwości w planowaniu. Zachodni szprymierze wyraźnie pokazali swoje oblicze: wystarczy wspomnieć: upadek burżuazyjnej Francji, która nam nie szczędziła słów pogardy, zagładę brygady spadochronowej pod Arnhem, zrzuconę przez Anglików prosto w kocioł. Monte Cassino — tragiczną Sosomierę, tysiące poległych dla zaspokojenia wodzowskich ambicji Andersa, wre-

sze Warszawę, powstanie, które się stało klęską narodową i każdemu musiało oczy otworzyć.

Ci sami ludzie, co z cynizmem wydali nas wrogowi we wrzesniu, gotowi są do każdej podłości, byle znowu rządy w swe ręce pochwycić. Ryją i wicherzą. Dlatego naród odgrodził się od nich, idzie własną drogą. Tępi każdy przejaw szkodnictwa i dywersji. Dlatego mamy Polską Rzeczpospolitą Ludową, a cały kraj przypomina wielki plac budowy. Nie ma u nas zakątków, gdzie by nie następowały rewolucyjne zmiany, gdzie by nie dokonywano trwałych przeobrażeń. Dokonałmy wyboru — budujemy socjalizm.

Oswobodziła nas Armia Czerwona. Ona oddzieliła nas szkodliwym sprzętem bojowym. Dostaliśmy broń szybkostrzelną, sprawną, nowoczesną. Powstały pułki, brygady artylerii, dywizyjny lotnicze, armie. Wyzwoliciele nasi dzielili się z nami doświadczeniem frontowym, uczyli taktyki walki, pokazywali jak się rzuca na kolana zdradzieckiego wroga. Dostarczyli nam instruktorów, wychowali kadry nowego Wojska Ludowego. Wraz z nami wbiłszy słupy graniczne na Odrę. Wspólnie zatykalimy szta-

dary na Łuku Brandenburskim w samym gnieździe faszystów.

Dziś nie jesteśmy samotni. Nie tylko otacza nas krąg przyjaznych narodów, ale i tam, na Zachodzie mamy setki milionów wypróbowanych przyjaciół, wraz z nami strzegących pokoju. Postępy rozbudowy, heroiczna praca i wyrzeczenia muszą budzić szacunek. Stajemy się w Europie poważną siłą gospodarczą, pomnażamy nasze możliwości produkcyjne. Z państwa rolniczego staliśmy się przemysłowo — rolniczym. Uporczywa, nuda walka o normy, o wykonanie planów inwestycyjnych i wytwórczych raz po raz błyśnięciem triumfami. Odnaki przodowników, proporce i wiechy kwitujące na wianach dachowych, całe dzielnice oddawane w dniu święta narodowego — pozwalają na dokonanie rzetelnego bilansu. Dziś wszystkie siły narodu użytkują się dla jego dobra; każdy talent, każda iskra zdolności jest chroniona i rodmuchiwana. Milionowe nakłady książek nareszcie naprawde upowszechniły piękno naszej literatury. Dziedzictwo kulturalne stało się dostępne dla każdego.

Czternaście lat minęło od pamiętnego dnia, gdy zawalili się kłamliwy mit o sanacyjnym mocarstwie. Nie można budować domu

dla narodu na krzywdzie i wyzysku, nie można kneblować ust najlepszym synom. Ci, którzy odrzucali wszystkie uczciwe dionie od steru państwa, którzy na słowa protestu rneli „gołędzinowiaków”, policję do łamania kości i obóz w Berezie, ci najbardziej winni — uszli za granicę. Historia wymiotła ich jak śmieci. Dziś lud wznosi nowy, sprawiedliwy dom. I ponieważ zna cenę krwi, którą przyszło zapłacić za prawo do wolności, za spokojną budowę, za sen dzieci, za chleb i książkę na stole — będzie strzegł jak żrenicy wywalczonych swobód.

Szybciej od dziejowej tną niebios odrzutowce. Mruć za bruku czołgi i ciężkie działa. Kroczy zasypała kwiatami piechota. Spojrzyj w niebo — będzie strzegł jak żrenicy wywalczonych swobód. Szybciej od dziejowej tną niebios odrzutowce. Mruć za bruku czołgi i ciężkie działa. Kroczy zasypała kwiatami piechota. Spojrzyj w niebo — będzie strzegł jak żrenicy wywalczonych swobód.

Wojciech Zukrowski

LUDOMIR RUBACH

W rocznicę wyzwolenia Bułgarii

WIELKA BITWA O WODĘ

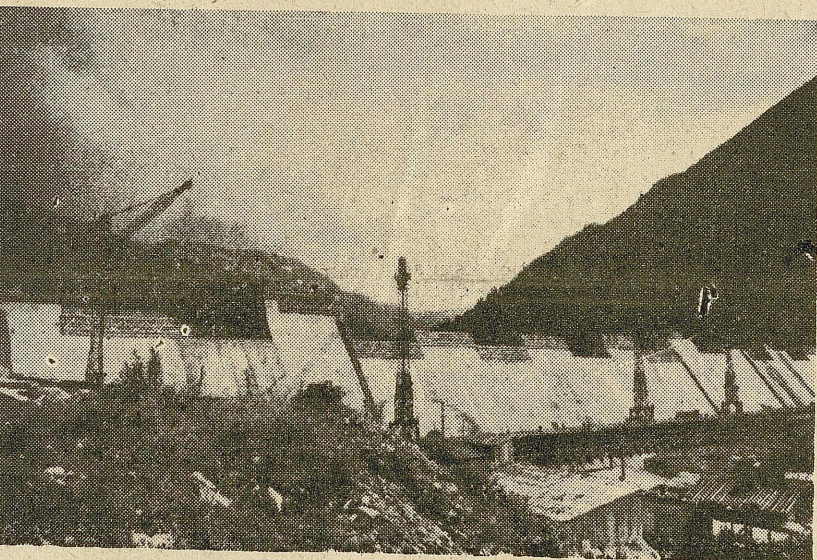
Wspiekocie wrzesniowego „łona dojrzejawia” rozległe winnice na zboczach wzgórz, otaczających prastary gród Płowdiw. Uprawa winogron od wieków stanowi sławę Bułgarii. Gdy spożyjemy czystsze, wonne bułgarskie winogrona lub pijemy święte bułgarskie wino, nie zdajemy sobie sprawy, ile trudu i muzurow kosztuje chłopów znad Maricy hodowla tego cennego krzewu. Największą trudnością, prawie zupełnie nieznaną naszym chłopom, jest w Bułgarii niedostatek wody. Rabunkowa gospodarka tureckich zaborców i kapitalistycznych wyzyskiwaczy ogłodziła niemal doszczętnie góry bałkańskie z lasów. Spadł poziom wód w rzekach. Bułgarię zaczęły nawlewać katastrofalne susze. Rządy burżuazyjne, bezradne wobec tej klęski, pozostawiały chłopów własnemu losowi.

Inaczej jest obecnie! Dobrudża — północno — wschodnia część Bułgarii, była przed kilku laty niemal gołym, bezrolnym stepem. Jak okiem sięgnąć, nie można było dostrzec ani jednego drzewka. Po spalonej słońcem równinie hulał suchy wiatr, wznosząc tuman górnego pyłu. A przecież jeszcze przed stu laty rosły tu lasy i ozimiała pszenica, dzięki której obfitość Dobrudża otrzymała nazwę „złotego kraju”. Chciwi obzarnicy i kulacy wyrabiali lasy i... Dobrudża w przeciągu kilkudziesięciu lat zamieniła się w pustynię.

Lecz nadszedł dzień wyzwolenia ludu bułgarskiego z jarzma obzarniczo — kulackiego. 9 września 1944 r. Armia Radziecka, wkroczywszy do Sofii, przyniosła Bułgarii wolność i pokój. Utworzona władza ludowa przystąpiła do likwidacji wielowiekowego zacołania kraju. Rozpoczęła też bitwę o wodę. 14 kwietnia 1951 roku radio sofijskie ogłosiło plan przeistoczenia Dobrudży ponownie w śpichlerz Bułgarii.

Przed kilkoma dniami otrzymałem list od jednego z moich bułgarskich przyjaciół, który pokazywał mi swą ojczyznę, gdy zwiedzał ją w 1947 roku. Píše on: „Nie poznałbyś Dobrudży! Szerokie pasma młodych sadzonek zielenią już nad błękitnymi smugami kanałów irygacyjnych. Zasadzimy wkrótce około tysiąca km pasów leśnych, które będą chronić Dobrudżę od wyniszczającego oddechu gorących wiatrów. Pasy leśne sadzi w Dobrudży dosłownie cały naród bułgarski, a przede wszystkim młodzież, która ofiarne

pracuje nad realizacją wielkich zadań naszego planu 5-letniego. Naród nasz wie, że jego dobrobyt w niezmierzonym stopniu zależy od dostatecznego nawodnienia naszych pól. Dzięki wodzie spółdzielnie produkcyjne i państwowe gospodarstwa rolne będą mogły odzyskiwać nowe tysiące hektarów ziemi ornej. W ostatnich dwóch latach 80 procent gospodarstw dziesiętków tysięcy chłopów ostatnich niedawno w Dobrudży zostało zmechanizowanych. Dokoła nowopowstałych wsi rosną już ogrody i sady. W 1956



Zapora wodna — Rosica

roku we wszystkich wsiach Dobrudży będzie już czysta, źródłana woda. Step zmieni się w złotą krajnię dobrobytu.

Gdy podróżny, zwiedzający Bułgarię, stanie na przełęczy Rodopów, minąwszy najwyższe wzniesienie tych dzikich gór bałkańskich, jego oczom ukaże się niezwykły widok: wśród sosnowych i świerkowych lasów marszczą się fale rozległego jeziora, położonego na wysokości 1582 metrów nad poziomem morza. Majestatycznie wyrasta ponad jego tafię ściana zaporę „Wasył Kolarow” — pierwszej zaporę budowanej w Bułgarii ludowej. Sztuczne jezioro w górach ma szerokość od 300 do 500 m, długość kilku kilometrów! Nad jego brzegiem urządzono wczasowiska dla ludzi pracy.

Górska rzeka Rosica bierze początek na północnych zboczach Gór Bałkańskich i spływa z nich w dolinę rzeki Jantry. — dopływu Du-

Zapora, wysokości 76 i długości 221 metrów, już wyrosła w poprzek koryta i doliny rzeki Iskier, dzięki czemu powstaje jezioro długości 13 km, a szerokości 6 km. Jezioro gromadzić będzie ponad 670 milionów metrów sześciennych wody, która spływając kilku tunelami uruchomi stacje hydroelektryczne: „Pasarel”, „Kakalanie”, „Sofia” i kilka innych. Cały ten potężny hydrozespół ma być oddany do użytku w 1955 roku.

Dopiero teraz, gdy naród bułgarski jest gospodarzem swego kraju, może on prowadzić wielką wojnę przeciw posusze. Walka o wodę połączona jest z walką o światło i energię elektryczną.

Walka ludu bułgarskiego, jest więc walką o wodę i światło, o dobrobyt i kulturę. W walce tej naród bułgarski odnosi co dzień nowe zwycięstwa.

Ludomir Rubach

TOMASZ ATKINS

Tydzień w świecie

Demagogia czy dolary?

Dziś odbywają się wybory do parlamentu Niemiec zachodnich. Reakcyjna prasa krajowa zachodnich nazwała je „wojennymi wyborami”. Ale jak w rzeczywistości wyglądają te „wojenne” wybory?

Wolność w zachodnich Niemczech zagwarantowana jest tylko dla tych partii, których programy pozostają w zasadniczej zgodzie z amerykańskimi planami przekształcenia tej części Niemiec w bazę wypadową do nowej wojny w Europie. Z wolności bez ograniczeń korzysta więc rządząca partia chadecka, której program wojny i odwetu jest tak dobrze znany. Wolno, swobodnie uprawiać propagandę wyobczając socjaldemokratycznej „opozycji”, która oskarża Adenauera o jeszcze zbyt powolne tempo odbudowy neohitlerowskiego Wehrmachtu. Wolno też bez przeszkód działać jawnie faszystowskim organizacjom, kierowanym przez byłych przywódców SS i partii nazistowskiej. Wolno również kandydować do parlamentu generałom — zbrodniarzom wojennym.

Nie ma natomiast wolności dla tych Niemców, którzy występują za pokojem, przeciwko programowi wojny i odwetu. Nie ma jej dla Komunistycznej Partii Niemiec zachodnich — czołowej siły klasy robotniczej. Nie ma jej dla patriotów niemieckich, zjednoczonych w Zgromadzeniu Narodowym, którzy wiedzą, że militarnym dwukrotnie doprowadził już ich naród do straszliwych klęsk i katastrof, pragną uniknąć samozagłady Niemiec na drodze nowej wojennej awantury. Okrutny terror rozpętała przeciwko nim klika Adenauera. Mnogość aresztowań komunistów. Faszystowskie bojówki rozpędzają wiece opozycyjne. W wielu okręgach administracyjnymi szykanami uniemożliwiono wystawienie kandydatury Partii Komunistycznej i Zgromadzenia Narodowego.

Jaki w tych warunkach będzie wynik wyborów? Trudno przewidzieć, czy zwyciężą dolary, którymi tak obficie zastłają kasę Adenauera rząd waszyngtoński i przemysłowcy Zagłębia Rury, czy też zwycięży demagogia socjaldemokratów, którzy w ostatniej chwili, uwzględniając nastroje ludności, opowiedzieli się za konferencją wielkiej czwórki. Ale każdego Polaka musi zastanawiać fakt, że w zgiełku kampanii przedwyborczej jeszcze wyraźniej niż dotąd wyszło na jaw antypolskie ostrze dążeń rewizjonistycznych, całą mocą popieranym przez Stany Zjednoczone.

Ten fakt raz jeszcze podkreśla nagłą konieczność takiego rozwiązania sprawy Niemiec, aby raz na zawsze przekreślić możliwość rozpętania przez Niemcy nowej wojny w Europie. A więc takiego rozwiązania, które by zjednoczyło naród niemiecki w jedno państwo, oparte na demokratycznych zasadach, w którym nie będzie miejsca dla organizacji faszystowskich, militarystycznych i odwetowych. Takiego rozwiązania, które zastąpiłoby separatystyczne wybory w Niemczech zachodnich rzeczywiste wolności wyborami ogólnoniemieckimi, w których cały naród niemiecki mógłby swobodnie zdecydować o swoim losie.

W takim rozwiązaniu kwestii niemieckiej, zaproponowanym przez Związek Radziecki, naród polski jest żywotnie zainteresowany.

Targi w ONZ

Ciężki orzech miało do zgryznięcia u ONZ delegacja amerykańska. Opinia publiczna całego świata — a pod jej naciskiem także i większość delegacji w ONZ — była przeciwna amerykańskiemu planom przekształcenia przyszłej konferencji politycznej w sprawie pokojowego uregulowania problemu koreańskiego w konferencję dwóch wrogich stron. Dyplomaci USA musieli zatem tym razem uciec się do takiego mnożenia gróźb i szantaży, jakiego ONZ dotychczas nie widziała, aby w końcu przeformować amerykańską rezolucję.

W jaki sposób działał amerykański mechanizm nacisku, widać było najlepiej w debacie nad zagadnieniem, czy Indie powinny brać udział w konferencji politycznej. Za udziałem Indii wypowiedziała się większość delegacji. Stany Zjednoczone znalazły się niemal całkowicie odosobnione. Wówczas USA uderzyły w czuły punkt rządu francuskiego. Kraje arabskie wniosły do Rady Bezpieczeństwa ONZ skargę przeciwko Francji za przeprowadzenie zamachu stanu w Maroku. Francji zależało na tym, aby sprawę Maroka nie rozpatrywano w ONZ. Targ w targ i Stany Zjednoczone w zamian za wystrzymanie się Francji od głosu w sprawie Indii, głosowały za wnioskiem francuskim w sprawie Maroka.

W rezultacie przy pomocy takich i innych machinacji delegacji amerykańskiej udało się wreszcie stworzyć taką atmosferę w ONZ, że Indie same wycofały swoją kandydaturę. Tak więc można by pomyśleć, że Stany Zjednoczone odniosły zwycięstwo, ale nawet reakcyjna prasa amerykańska, jak np. „Washington Post” pisze, że zwycięstwo to było „nie bardzo korzystne”. „Jeszcze jedno takie zwycięstwo — pisze gazeta — a będziemy całkowicie zniszczeni”.

W tym bowiem tkwi sedno rzeczy, że awanturnicze, dyktatorskie poczynania Stanów Zjednoczonych coraz bardziej pogłębiają rosnącą izolację tego państwa na arenie międzynarodowej. Ko poaobnie jak kulak na wsi potrafi do czasu wymusić postuszeństwo słabszym gospodarzom — podobnie i Stany Zjednoczone potrafią do czasu wymusić postuszeństwo słabszym partnerom. Ale każde wymuszenie potęguje tylko opór i nienawiść przeciw monopolistycznym kulakom z Wall Street.

Komu Watykan błogosławi?

Jednocześnie w ubiegłym tygodniu ogłoszono o podpisaniu konklawu między Watykanem i faszystowskim reżimem Franco oraz o zakończeniu rozmów między Stanami Zjednoczonymi i Hiszpanią frankistowską w sprawie zawarcia paktu wojskowego.

Znamienne to wydarzenie z wielu względów. Reżim frankistowski, znienawidzony przez naród hiszpański, napiętnowany został przez cały świat. Po dziś dzień Hiszpania frankistowska nie jest członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych, bo nawet burżuazyjne rządy, pod naciskiem opinii swoich narodów, nie odważyły się zasiać przy wspólnym stole z katem i oprawcą narodu hiszpańskiego.

A teraz Stany Zjednoczone wyciągają rękę do tego ostatniego spośród faszystowskiej trójki Hitler — Mussolini — Franco. Watykan zaś błogosławi temu związkowi.

Czyż trzeba wyraźniejszego dowodu, jak dalece Stany Zjednoczone są osamotnione w Europie, jak niepełnie się czują na europejskim gruncie, skoro szukają oparcia w wojskowym sojuszu z Franco? Czyż trzeba wyraźniejszego dowodu, jak dalece Watykan utożsamia się z najbardziej ciemnymi siłami reakcji, skoro zawiera konklaw z reżimem, który jest symbolem terroru i bezprawia?

I czyżby trzeba wyraźniejszego dowodu, że Watykan przeszedł całkowicie i bez reszty na służbę imperializmu amerykańskiego? W 1933 r., natychmiast po dojściu Hitlera do władzy, Watykan podpisał z nim konklaw, by dobrze sprezentować go światu. Dziś Watykan na życzenie imperialistów amerykańskich czyni to samo z chwiejącym się reżimem frankistowskim.

Po prostu — pierwszy drużba na wszystkich faszystowskich weselach.

Tomasz Atkins

NAVTEY

WSPANIAŁA TĘCZA LUDZKOŚCI

Wśród honorowych gości Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie znalazł się Navtey, człowiek w śnieżnobiałym turbanie o żywych dobrych oczach promieniujących osobliwym blaskiem. Na jego piersi zawisł pewnego dnia złoty medal — nagroda w konkursie literackim Festiwalu. Brodaty Hindu — Navtey — otrzymał ją za nowelkę „Wrak bez steru”.

Zachwycony Festiwalem, Navtey skreślił w Bukareszcie na żywo swoje wrażenia, które zamieszczamy poniżej.

REDAKCJA

W Bukareszcie ujrzałem światła — tęczę ludzkości. Tworzyły ją różnicze i barwne stroje, słowa wielu języków wypowiadające rozmaite poglądy o życiu i świecie, bukiety kolorowych flag — zlewające się w jedną całość. Te wspaniałe tęcze ujrzałem nie na niedosiężnym niebie. Istniała ona jak najbardziej prawdziwie na naszej starej, pocziwej ziemi. Czulem ją, chwytalem w ręce, byłem jej częścią. Zylem nią: tęczę, która jest symbolem naszej nadziei.

Tu, w Bukareszcie śpiew i kwiaty stały się nową mową, która przezwyciężała granice mowy słów. Język kwiatów wyrażał wszystko. — I każdy pragnie aby dłoń, które te kwiaty wręczały, przyniósł nie zażalany krzywdy i cierpienia. Każdy

czuje, że nie może tu braknąć żadnego kraju, że każdy naród wnosi w świat swoje dary.

Rzadko kiedy zdarza się widzieć miasto o powiewającej obok siebie tak wielkiej ilości flag krajów obcych i odległych od siebie. W niezapomniane dni Festiwalu sztandary te spływały z nieba, uśmieszające na samolotach. Setki, tysiące tanecerek kołysało się rytmicznie w ich cieniu. Tańczyły razem wszystkie serca, tańczyły zalazawione wzruszeniem oczy. Łzy te, jedne w swoim rodzaju, nie zaciemniały promiennej przyszłości.

W Bukareszcie wirowały pomiędzy dłońmi zeszyty z autografami. Tu każdy mówił: „Napisz mi prośbę — nazwę twojej Ojczyzny”. Chustki i znaczki, fotografie i adre-

sy, książki i klamerki od pasków przechodziły z rąk czarnych, białych i złotych. Te i tysiące drobnych, a przecież tak cennych podarków młodzieży.

Często słyszało się o królewskich przyjęciach — jakież to szczęście być gościem serc rumuńskich! Oddaleni tysiącami mil od ojczyzny, czuliśmy się w Bukareszcie wszyscy jak we własnym kraju. Sprawiała to pełna miłości opieka narodu rumuńskiego.

11 sierpnia przeżyliśmy w Bukareszcie noc, która nie ma równych pośród innych nocy. Karnawał młodości w Parku Stalin! Wokół pomnika wielkiego wodza ludzkości kłębiła się rozradowana młodzież — a Stalin spoglądał z cokołu jak kochający ojciec.

Miliony kropel tryskających z wodotrysków iskryły się w blaskach światła tysiącami barw. Reflektory rozświetlały jedne zakątki i alejki, w innych znów ustronięte jaśniały jedynie pełne przyjaźni oczy. Z przerozniętych miejsc, z małej wysypki zagubionej w głębokiej toni jeziora strzelały snopy promieni i reflektorów. Światłe smugi cęły niebo, chwytaly się, gonily, okrą-

łości wwieziono z Bukaresztu niczym najdroższe pamiątki.

Młodzi ojcowie i młode matki wymieniały fotografie swych dzieci. Zdjęcia te, pr. jominaly raz jeszcze, że w każdym kraju są takie same

dzieci, podobne do naszych własnych i równie mocno kochane — a potrzebujące pokój i nie mniej niż codziennego mleka.

Często słyszało się o królewskich przyjęciach — jakież to szczęście być gościem serc rumuńskich! Oddaleni tysiącami mil od ojczyzny, czuliśmy się w Bukareszcie wszyscy jak we własnym kraju. Sprawiała to pełna miłości opieka narodu rumuńskiego.

11 sierpnia przeżyliśmy w Bukareszcie noc, która nie ma równych pośród innych nocy. Karnawał młodości w Parku Stalin! Wokół pomnika wielkiego wodza ludzkości kłębiła się rozradowana młodzież — a Stalin spoglądał z cokołu jak kochający ojciec.

Miliony kropel tryskających z wodotrysków iskryły się w blaskach światła tysiącami barw. Reflektory rozświetlały jedne zakątki i alejki, w innych znów ustronięte jaśniały jedynie pełne przyjaźni oczy. Z przerozniętych miejsc, z małej wysypki zagubionej w głębokiej toni jeziora strzelały snopy promieni i reflektorów. Światłe smugi cęły niebo, chwytaly się, gonily, okrą-

wały nawzajem. Ten wspaniały, barwny fajerwerk zachwycił wszystkich. Tłumy radosnych chłopców i dziewcząt bawily się, szumiały rozmowami, obrzucały wszystkich i wszystko konfetti, papierowymi wężami.

Tej nocy miałem niezapomnianą przygodę. Spacerowałem z polską przyjaciółką. Chcieliśmy rozmawiać, ale oboje nie znaliśmy wspólnie ani jednego języka.

Poznałem ją dwa dni przed karnawalem. Siedziała za mną. Śpiewaliśmy pieśni i słyszałem jej rozedrgany radością głos. Przypominał on lekki powiew wiosennego wiatru. Chwytal za serce.

Dziewczyna znalazła mnie z fotografii, która ukazała się razem z moją nowelką w festiwalowej gazecie. Wyciągnęła przekład tej noweli i prosiła o autograf...

W dzień karnawału przypadek — taki, który zdarza się tylko w bałce — i na Festiwalu — spłótn znowu nasze kroki. Spotkaliśmy się wśród tysiącznych tłumów. Mówiliśmy w odmiennych językach. Rozu-

mieliśmy się bez słów. Śpiewała mi swym świeżym głosem piosenki swojej polskiej ojczyzny.

Moja polska przyjaciółko! Twój uśmiech i Twoje piosenki będą przy mnie zawsze!

Tu, w Bukareszcie, rozbrzmiewały we wszystkich językach — jak uroczyste przysięgi — słowa: Pokój, Przyjaźń. Każdy z nas uczył się tych słów w wielu językach. Nie robiliśmy tego jednak dla poznania samych słów. Dziekan Canterbury powiedział: „Z Bu” aresztu jest 30 tysięcy okien do 111 krajów. Przez te okna zobaczy świat, że pokój jest osiągalny, że może istnieć przyjaźń, że dobrobyt wszystkich jest możliwy”.

My, młodzież przybyła na Festiwal, ślubujemy: będziemy czuwać, będziemy te okna otwierać jak najszersze, a szczyby ich utrzymywać jak najczystszej. Gdy znowu spotkamy się na Festiwalu — archipelagi gniazd przetrwały naszych krajów uwiłe będą na kwitnących gałęziach wszystkich krajów.

Tłumaczył Leszek Moczulski

PIOTR PIGWA

Nauka zdobywa gromady

Stanisława Mikołajewską, nauczycielkę, opisała w liście do naszej redakcji wypadki, jakie tego roku rozegrały się na terenie gminy Brzeźno, pow. Sieradz.

Dzieci szkolne z najstarszych klas zaprzętały katechete, skąd się wzięła na ziemi pierwsza materia i w jaki sposób została uprawiona w ruch? Oczywiście usłyszeliśmy odpowiedź zupełnie odmienną, jaką usłyszeliśmy od nauczyciela przedmiotu — Nauka o Konstytucji.

Wewnętrzna sprawa szkoły? Gdyby nawet tak było — dualizm w wychowaniu młodzieży — sprawa — jak ją w końcu na rozdrożu. A przede wszystkim to nie wewnętrzna sprawa szkoły. Kiedy bowiem dzieci wybierali się na wycieczkę do powiatowego Sieradza, by zobaczyć jego socjalistyczną przebudowę, napotkali gwałtowny opór ze strony pewnej części rodziców. Tuż przed odjazdem matki odbierały dzieciom tornistry, wyrzucały kufasy, przeznaczone dla robotników budujących wielki szpital w powiatowym mieście, popychały siłą w stronę kościoła...

Łańcuch wydarzeń, jakie przedstawiła nam Mikołajewska, jest znacznie dłuższy. Zaczęła ją katecheta po drodze. Było to po burzliwym zebraniu, na którym wybrano nowy zarząd GS. Czujna nauczycielka udaremniła próby przeformowania listy, na której figurowali kulacy i najbardziej zacięci ich popiecznicy, lub aktywiści w rodzaju prezesa ZSCh, który radził naszej nauczycielce, by się mniej zajmowała „propagowaniem małego pochodzenia człowieka”. Ostatecznie do zarządu weszli postępowi chłopcy, w części otwarci zwolennicy gospodarki spółdzielczej.

A więc książkę radził nauczycielce, żeby się z walką o spółdzielczą produkcję nie spieszyła — na wszystko przyjdzie czas. Tymczasem w gromadzie dojrzała już sprawa Komitetu Założycielskiego.

Mikołajewska wiąże w jasny obraz poszczególne ogniska wydarzeń, pozornie ze sobą niezwiązanych. Powiada mianowicie, że wśród klasowy, wypierany coraz energiczniej z aparatu gospodarczego, demaskowany w GRN-ach i GOM-ach, zmuszany do udzielania pomocy sąsiadkiej bez wyzysku, pełnowartościowy przez gromadę, kiedy uchyła się przy konaniu obywateli wobec państwa — skłupi. swoje wysiłki na odcinku walki o światopogląd.

Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że na gruncie wyobrażeń o budowie wszechświata, stosunków społecznych pomiędzy ludźmi, łatwo jeszcze mieć w głowach.

Ale każdy medal ma dwie strony. I właśnie ta druga strona. Niepokoi wroga. Na wieś — jeżeli można tak ogólnie postawić sprawę — trafia wspólna, socjalistyczna technika. W Sieradzkim huczą nie tylko traktory na polach; pojawiły się tam już i kombajny. Do gminy Brzeźno zjechała na stałe POM. Ożywił się ruch miczurinowski, rozwinęły się poważne uprawy roślin leczniczych, zwłazcza mięty. Osiągnięcia wysoko zorganizowanej techniki i nauki — najwyraźniejsze znaki wyzwalania się człowieka spod wpływu przesady, zabobonu, porzucające przykłady uwalniania chłopów od ciężkiej pracy, zmuszając do rewizji dotychczasowego poglądu na świat. I to jest właśnie charakterystyczna cecha bieżącego etapu rozwoju świadomości społecznej młodo- i średniorolnych. Wróg o tym wie i dlatego głosi wsteczne, anty-

naukowe idee o rzekomej bezradności wobec słabej gleby, niepomyślnej pogody, składa sprawę wyjątkowości z hektara w ręce opatrności, redukuje do minimum rolę nauki i socjalistycznej techniki. I — trzeba sobie z tego zdać sprawę: wróg osiąga tu i ówdzie sukcesy, ale zasadniczego rozwoju świadomości mas chłopskich zahamować nie może.

Kiedy prelegent TWP wygłosił odczyt w zapadłej wsi — Budy Zaklasztorne (pow. Skierniewice) pt. „Nauka zwalcza przesady”, zasypało go pytaniami o strachy, strzygi, czarownice, rozmaitego rodzaju alicy. Ktoś ze słuchaczy spytał także, skąd biorą się pioruny: czy aby nie jest to resort działalności niebios. Wtedy matorolny Sęk zauważył piorunochron na kościele. Od tej pory — po gruntownej dyskusji — prawie wszyscy w Budach umieją sobie NAUKOWO WYTŁUMACZYC wyładowania elektryczne.

Chodzi wszakże o co innego. O to mianowicie, że chłopcy, w których ubogie niegdyś życie uderzył się traktor, elektryczność, radio, którym odjęta została troska o wykształcenie dzieci, a osiągnięcia sąsiadów — miczurinowców — znoszą przestarzałą rutynę gospodarczą — szukają naukowych uogólnień, porządkujących je jasny i jednolity sposób OGROM PRZEMIAN.

Komitet Rodzicielski z Woli Makowskiej pod Skierniewicami uchwalił specjalne premie dla dzieci szkolnych, roznoszących kartki z zawiadomieniami o odczytach na temat światopoglądów. Sala jest zawsze pełna, a życie Woli Makowskiej i okolicy ożywiło się dyskusjami na temat pochodzenia życia na ziemi. Nie brak pośród starszych chłopów takich zacietrzewieńców, którzy wszystko przeczytali o białkowej teorii powstawania żywej materii. Jest to doprawdy rewolucja w świadomości chłopskiej! Znamy miczurinowca z Makowa — Supera, wygłosił koreferat do odczytu jednego z profesorów Wyższej Uczelni. Supera mówił na temat przeobrażenia przyrody przez człowieka. Słynne buraki, wielkie jak ludzka głowa, wynik pracy miczurinowca z Makowa, stanowiły materiał ilustrujący koreferat.

Dyskusje zbliżyły Wolę Makowską i okolice do socjalizmu, co nie oznacza, że proces wypierania się świadomości starych nawyków został już zakończony. Z drugiej jednak strony — oświadczył „od białka”, to znów pierwiastki starych stosunków społecznych kapitalizmu — są na gruncie praktyki czolowymi aktywistami. Rozniecają ruch miczurinowski, wzmagają tempo dostaw dla państwa, a przede wszystkim — umiejają swoje stanowisko poprzez naukowymi, nieodpartymi argumentami.

Przed nami długie jesienne i zimowe wieczory. Trzeba troskliwie, jak nigdy dotąd, zadbać o to, by budzący się na wsi RUCH UMYŚLOWY rozszerzył akcją odczytów światopoglądowych i dyskusji. Jest po temu czas szczególnie korzystny, gdyż tocząca się nieprzerwanie rewolucja kulturalna doprowadziła chłopów w 4 roku Planu 6-letniego na taki etap świadomości, że można już i trzeba odpowiadać wszędzie na pytanie: — Skąd się wzięła pierwsza materia na ziemi i w jaki sposób została uprawiona w ruch?

Tęgodrogi akcja sama z kolei uprawia w ruch tysiące nowych aktywistów.

Piotr Pigwa



ANNA HUK

OBALANIE PRZESADÓW

Jest w naszej pracy nauczycielskiej, prowadzonej nieraz w zacofanych gminach dziedzina nieślusznego, moim zdaniem, pomijana lub co najmniej niedostatecznie omawiana w prasie. Chodzi mi o pracę nad ugruntowaniem w masach chłopskich naukowego poglądu na świat.

Walka o materialistyczny, marksistowski światopogląd winna być szeroko prowadzona wśród naszego aktywnego kulturalnego. Stosuje się tu bowiem swoiste metody. Walka prowadzona jest najczęściej w formie zwykłych rozmów przy drodze, często w czasie domowej pogawędki, kiedy ludzie powrócą z pól i radzi by o czymś nowym posłyszeli. A sprawy, wokół których się ta walka obraca, związane są z codziennym życiem, powszednim dniem pracy.

Garść uwag i spostrzeżeń ze swojej pracy na tym odcinku chciałabym w pierwszym rzędzie skierować pod adresem innych kolegów-nauczycieli i aktywnych kulturalnie oświatowych. Niechże ze swej strony dorzucą, poprzez „Więś”, swoje spostrzeżenia.

Pracuję we wsi Zbytowa, powiatu oleskiego. Gromada jest — że tak powiem — kielecko-wieluńska. Z tamtych bowiem stron sięgnęła tu po wojnie najskrajniejsza biedota, często bardzo zacofana, pełna dziwacznych przesądów, od których włosy stawały na głowie. Ale — co znacznie od tego gorsze — zacofany pogląd na świat utrudnia chłopom zbytowskim normalny rozwój produkcji rolnej, wprowadza zamieszanie w życie rodzinne, przeszkadza w racjonalnym wychowaniu dzieci, słowem utrudnia postęp. A trzeba wiedzieć, że Zbytowa, to wieś biedna, przeżywa tam zdecydowanie zima VI i VII klasy, gospodarstwa mało-biedniacko-średniackie. Tylko racjonalna hodowla bydła i drobiu mogłaby podnieść zamożność gromady.

Tymczasem...

Jeszcze przed kilku laty zastarzałe przesady hamowały normalną wymianę handlową, np. — sprzedaż masła. Co najmniej połowa gromady była świeżo przekonana, że po zachodzie słońca za żadne skarby nie należy sprzedawać ani mleka, ani masła, gdyż „zły” odbierze krowom mleko. Niby drobiazg, a w gruncie rzeczy jeszcze nie tak dawno cierpiał na tym dostawcy mleka i masła do mleczarni i — co ważniejsze — przesąd odwracał uwagę gospodarzy od stanu zdrowotności krow, których mleczność była bardzo niska.

Szczęściem mam własną krowę. W obecności sąsiadek dołmam ją o zmierzchu, robiłam masło, próbowałam wymieniać mleko, na janką. Skutek był nadzwyczajny! Udało mi się przekonać kilka gospodyń, że o wydajności krowy nie rozstrzyga pora dnia, ale sposób jej pielęgnacji. Wieczorami odbywałam w stajni rodzaj kursów dawania karmy krowom. Mówiłam o sposobach zwalczania powszechnie znanych chorób wśród tych zwierząt. I tak powstał mój aktywny kobiecy. Za krowami poszły kury, które także ponoć traciły nośność, kiedy się je wieczorami karmiło...

W czasie jednego z takich posiedzeń wybuchło zgłoszenie nieoczekiwane zamieszanie. Wyłałam wodę po moim synku, który mył się przed snem. We wsiach kieleckich można było nie raz usłyszeć „dowodzenia”, że dziecko traci sen, apetyt, chudnie gwałtownie i umiera, jeżeli nie zachować po nim wody do rana. I rzeczywiście, prawie wszyscy kieleccy nie stawiali na noc miednicę i cebryki pełne brudnej wody. Niebażelna wcale rzecz. Jeżeli np. chłop miał 6 dzieci — wszystkie mył w tej samej wodzie, co oczywiście bardzo ujemnie odbijało się na zdrowiu najmłodszych obywateli gromady. Ten przesąd miał swój wieloletni warian. Nie wolno myć dziecku ani głowy, ani uszu do roku, inaczej

umrze i tyle. Mój prosty jak świeca i zdrowy niczym rydz syn posłużył za materiał dowodowy w pogadankach. Co zaś się tyczy niemowlęcia — nie miałam go w domu, ale zgodziła się jedna z sąsiadek podać zabiegom racjonalnej higieny swoje. Dziecko okazało się zdrowsze niż jakiekolwiek inne.

Jakoś dwa lata temu przybiegł do mnie wyraźnie przestraszony wójt naszej szkoły, ob. Stelmach z krzykiem:

— Niech pani kierowniczka wypie tę żabę, bo to czarownica!

Chodziło o to, że małorolna Józefa Mikołajczyk sprzedawała — jak na wyliczenia zbytowa — za dużo mleka i masła. Nic tylko nocą zamieniała się w żabę i odbierała innym krowom mleko! Miał się nawet odbyć sąd gromadzki nad nieszczęśliwą. Udało mi się jednak wytłumaczyć ludziom, że Mikołajczykowa pierwszą zrozumiała, iż przyszłość gromady leży w racjonalnej hodowli i po prostu dba o krowę, jak nikt. Od tego momentu zainteresowanie dla racjonalnej hodowli krow znacząco wzrosło. Chłopi rzucili się do książek jakby zawstydzeni, że głupi, niedorzeczny zabobon przestoił im możliwość rozwinięcia gospodarstwa.

Najdłużej trzymała się żaby ob. Anna Piszczalkowa, ale już w nieco innej formie. Leczyła zapalenie gru-



Anna Huk

WOJCIECH BAJEROWICZ

PRZEŁOMOWY CZAS

Obraz może nie jest nawet brzydki dla w mieszkaniu ludzkiego nauczyciela stanowczo zaskakujące.

Wyobraźcie sobie gorące słońce Ukrainy. W porównaniu gwałtownie do jasnej przestrzeni stepu ułańska defilada. Orkiestra właśnie ostro skreśliła, by przepuścić panów — rycerzy. Konie wymuskane — zapewne przez chłopów, pokazanych w obrazie na trzecim planie, rozdziałających w niemym podziwie gęby. Jakis tegi szlachetka stoi dumnie na kurbanie, przyjmując defiladę.

No tak, nauczyciel Świątkiewicz z Borowa — gromady leżącej w powiecie kieleckim, człowiek niezwykle gładkiej wymowy, nie łatwym był początkowo dla mnie o-rzechem do zgryzienia.

Nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że rozmawiam ze skarabeuszem, owym niezwykle sprytnym robakiem, który w niepojęty, wręcz zdumiewający sposób umie się doskonale urządzić.

Rozmawialiśmy długo o Borowie. — No cóż: zarządzenia władz są tu skrupulatnie wykonywane, poznaliśmy chłopów są zawsze akuradni.

I wyszedł mi na cały wieczór z ciekawymi, „poznawskimi” teoryjkami.

Więś liczy około 600 mieszkańców. Z tego olbrzymia część to pracownicy sylvnego w kraju, przodującego PGR-u, należące do Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin (IHAR). Pozostali w liczbie kilkudziesięciu ludzi — to kulacy i ich rodziny. Indywidualnych średniaków, czy matorolnych nie ma.

Wszystko to jakies ponoc inne niż gdzie indziej, jakies niesłychanie poznawskie. Znaczący według słów nauczyciela, że kulacy — to

ludzie bardzo pracowici, gospodarzą uczciwie, placą wysokie dniówki, a że im dobrze na swoim, więc też o założeniu spółdzielni produkcyjnej nie myśla. Oto dlaczego Świątkiewicz nie postawił, jako autorytet, sprawy socjalistycznej gospodarki w Borowie.

— Dobrzy ludzie z tych gospodarzy. Kiedy widzieli, że moja ziemia nie jest zaorana, przyszli sami, bez słowa wszystko na moich dwóch hektarach zrobili.

Widziałem za oknem piękne mieszkanie nauczycielskie z dziećmi szkolnymi dwiema ciężkimi ule. Także dla nauczyciela.

*

Kiedy dzień zbliża się do końca, milną metaliczne dźwięki młota, cichną głosy majsterki w warsztatach: Jan Sobieski, trochę mechanik, a trochę i kłodziej wraca do domu. Spotkałem go na drodze. Jest to człowiek zdumiewająco bezpośredni. Kiedy stwierdził, że jestem przedstawicielem prasy, wyrażał śmiało o nauczycielu:

— Pije z kulakami! Jest ich sekretarzem, czy jak to nazwać, doś, że zawsze mają najlepiej wykrocone na swoją korzyść podania.

Wtrąca się do rozmowy robotnicza rolna, Budzińska:

— O, to bardzo kulturalny pan! Zawsze, nim uderzy dziecko, wypier ostrzegę.

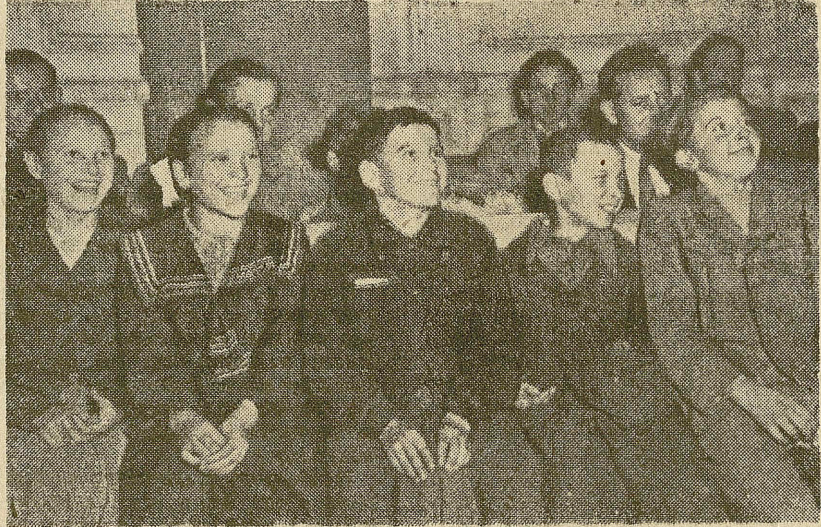
Sprawa Świątkiewicza stała się już po prostu żenująca. Zmieniam więc temat.

Zjawia się ślusarz PGR-u Ratajczak, dołączają i Heniek, syn Sobieskiego. Siadamy przed dawnymi czworakami; wędruje z rąk do rąk paczka „Mocnych”.

Nie potrafię na razie tego uczucia inaczej nazwać: patriotyzm, przy-

wiązanie do rodzinnych stron, nieustanna troska o ich dobro — narzucały się nieodparcie w czasie tej podnocnej rozmowy.

PGR jest olbrzymi: 900 ha dobrej ziemi! Dawni robotnicy rolni, pionierzy przez junkierskiego ka-



pitalistę, doskonale są zorientowani w charakterze produkcji; co więcej: widzą wielkie możliwości oddziaływania na chłopską okolicę. Sobieski wylicza spokojnie:

— Mamu to 1600 sztuk bobrów. Aklimatyzujemy wiele nieznanych gatunków roślin oleistych. Na naszych polach znajduje się tak odmiennie słonecznika, że tylko oczy na wierzch wywracać z podziwu. Ale nie o to chodzi...

O coż więc? Człowiek o królewskim nazwisku powiada, że setki robotników borowskiego PGR-u nie zdają sobie sprawy z tego, jaką

właściwie instytucję reprezentują. Brak wciąż jeszcze roboty uświadamiającej. Ratajczak, obyty trochę po świecie, powiada, że Borowo można bardziej niż jakikolwiek inny PGR użytkować dla sprawy socjalistycznej przebudowy wsi.

— A no u nas technika wysoka; bije na głowę nawet najcięższych kulaków wielkopolskich; a uprawy specjalne takie, że w pierwie chłop wytłuszcza, nim coś podobnego wymyślił.

— Ale to przedwczesna akcja; wcale im się nie podobało, wciąż jeszcze zacofani.

Idziemy wolno w stronę świetlicy. Wojciechowski wraca nagle po klucza. A później okazało się, że drzwi otworzy z racji mojego przybycia: pierwszy raz... od miesiąca!

*

A jednak wyjechałem z Borowa pełen optymizmu, powiem więcej: wzruszony. Nigdzie bowiem nie spotkałem takiego przywiązania do rodzinnych stron, tyle zamilowania do prostych, zwykłych zawodów, co w PGR. Nie chodzi mi już o starszych robotników. Stary Sobieski oświadczył mi, że jego chłopiec nie chce wędrować do miast po nauki; postanowił pozostać na miejscu... Kocha on konie; w każdy wolny czas myśli, jakby je najlepiej użytkować; karmi je i pieści. A jaki przy tym znawca konińskiej literatury! Powiada, że będzie pierwszym w pełni świadomym pracownikiem młodzieżowym w socjalistycznej gospodarce.

A znowu traktorzysta Stefczyk zadeklarował się, że będzie pierwszym kierowcą traktorowym z pełnym humanistycznym średnim wykształceniem, niezależnie oczywiście od technicznego. I jest tak z nim rzeczywiście. Ratajczak snuje wielkie plany przebudowy warsztatów mechanicznych i remontowych PGR, które zrealizuje po odhyciu służby wojskowej.

— Co jaki chłopak z naszego wojska wróci, to taki w technice oblatany, że biją się o niego. Ale ja przyjdę tu z powrotem.

Przykład Borowa pokazuje radośny proces przywiązania się młodzieży do rodzinnych stron. Młodzież ta widzi dla siebie nowe możliwości w Borowie; widzi, że wykształcenie, zawód zapewniają jej przyszłość na wsi, idącej szybko ku socjalizmowi. Borów nie miał nigdy tylu skomplikowanych maszyn, tylu agrotechników, inżynierów rolnych, tak szeroko rozbudowanej bazy technicznej.

I jeszcze jedno:

Wracam do borowskich skarabeuszów. Świątkiewicz — ów monopolista kultury, wysiadający pod obrazem przedstawiającym jasne pańskie wojsko — jest już poważnie przez młodzież zagrożony. ZMP-owska drużyna piłki nożnej zwróciła uwagę na Borowo. Przyjeżdża tu młodzież z innych LZS-ów; często odbywają się wspólne wieczory artystyczne; występuje często na nich traktorzysta Stefczyk, dusza zespołu; mówią często i starsi robotnicy, Jan Sobieski pochwałił mi się nawet, że ostatnio byli profesorem na występach świetlicowych, poświęconych głównie walce z zabobonami i przesadami. Dowcipne wierszki, wykpiwające miejscowe zelatorki i bigotki, udane piosenki, układane na poczekaniu do znanych melodii — spowodowały pierwszy w dziejach Borowa wyjazd o naukowym poglądzie na świat. Przyszło wielu robotników. Nie było tylko nauczycielskiego skarabeusza.

Daleko oczywiście w Borowie do pełnego życia kulturalnego. Nie prędko, być może, usłyszymy tam dobre odczyty i dyskusje związane z rewolucjonizowaniem rolnictwa. Ale kielich nowego, posiane rękami młodych i starszych robotników PGR-u, wyrosły też wiosny ponad wszelką wątpliwość.

Wojciech Bajerowicz

GUSTAW MORCINEK

ZA PRZYKŁADEM STACHANOWA

M oże nawet niektórzy z nich nie wiedzieli, kto to był Stachanow. Wystarczyło, że wiedział Wincenty Pstrowski i jego następcy. Świadkami tej sprawy gotowi się jednak spierać, że nie Pstrowski był pierwszy, lecz Bernard Bugdół. Nie chodzi w tym wypadku wcale o umniejszenie zasług i sławy Pstrowskiemu, lecz o pierwszeństwo wzorowania się na Stachanowie. A może obaj równocześnie jeli się na nim wzorować. Pstrowski na swojej kopalni — Bugdół ze swym bratem także na swojej. W rezultacie Pstrowski pierwszy rzucił wezwanie z kopalni „Jadwiga” w Zabrzu. Brzmiało ono osobliwie:

— Wzywam do współzawodnicstwa towarzyszy — rębaczy z innych kopalni! Kto więcej wyrabie węgla niż ja?...!

W tym okresie rąbał węgiel ponad zwykłą normę Czesław Zieliński. Rąbali i inni, których nazwiska jęły z czasem trochę jakby girlandę ogromnie świetlną i szumną. Niektóre nazwiska utrzymały się, jak Markiewka, Aprys, Blaut... Niektóre przeszły w lekkie zapomnienie. Chociaż niesłusznie.

Górnicy patrzyli na Pstrowskiego i jego naśladowców, jak na ludzi nieco pomyślonych. Kiz diabli? Tyle lat rąbał węgiel, i za czasów pruskich, i za czasów sanacji, i za czasów hitlerowskiej okupacji — a nikt z nich nie zastanawiał się, że można go wyrabiać ponad zwykłą normę. Owszem — można, ale kosztem nadmiernego wysiłku fizycznego, kosztem tak zwanego „pierniżkiej harówki”, podczas której nie ma czasu nawet potu zetrzeć z twarzy, nie ma czasu odpocząć, wyprościć kości chociażby na drobną chwilę, usiąść na moment pod ociossem i „pofanzolić żdziebko” z kamratami.

— Od takiej roboty konie zdychają! — mawiali niewierni Tomasz, Tomaszewscy, Tomice, Tomki i Tomale,

podobnie jak nie słyszał jego uczonego wywodu, że „nierówne ciężary równoważą się na dźwigni, jeżeli wielkości ich są odwrotnie proporcjonalne od odległości od osi”. Osią był tutaj pniak. Wsparł na nim drag, krótszy koniec wsunął pod ramę wozu, ujął za dłuższy koniec i zawołał:

— Panowie, uwaga!... — nacisnął lekko i podniósł wóz bez wysiłku.

„Panowie” zbaranieli i orzekli z kwasną mimą, że chłop nie jest „durnym chłopem”, lecz mądrym chłopem.

Bernard Bugdół o ślicznych czarnych oczach dodał, że jeżeli górnik postępuje w ten sam sposób, jak postąpił ów rzekomo „durny chłop” — każdy może stać się bez wysiłku przodownikiem pracy. Innymi słowy chodzi tutaj o usprawnienie pracy. Jednym z tych usprawnień jest na przykład umiejętność wiercenia otworów w całości węgla. Jeżeli zaś ktoś chce je umiejętnie wiercić, musi się zastanowić nad rodzajem ułatwienia węgla. A jeżeli się zastanowi nad ułatwieniem, musi przez doświadczenie znaleźć jego najsłabszą stronę, by skutecznie uderzyć. To wszystko wymaga tej prostej inteligencji, przeważnie potocznie „chłopskim rozumem”, którą wykazał „durny chłop”, podnosząc bez wysiłku wóz trzech ludzi rzekomo inteligentnych.

Wysilek Pstrowskiego, czy Bugdoła nie na czym innym polegał, jak na zastosowaniu w pracy owego „chłopskiego rozumu”. W tym wypadku musimy to nazwać „górniczym rozumem”, jako że górnik czułby się dotknięty, gdyż rzemiosło górnicze uważa za królewskie rzemiosło, a te wszystkie inne za coś w rodzaju najwyżej książęcego rzemiosła. Wprawdzie król nie kopał nigdy węgla, a książę nie szył nigdy butów — dodaje uniwiniająco — lecz to jest tylko trochę za wykwinna metafora, która oddaje sens — eczy,

druje przez pustynię. Natrafiają na rzekę. Spragnieni Murzyni rzucają się do niej, kładą na brzuchu i piją.

...I pili, tak chciwie, że przestali dopiero wówczas, gdy krokodyl chwycił jednego z nich za rękę. Inni rzucili się na ratunek towarzysza i w jednej chwili wyciągnęli z „wody wstrętnego jaszczura, który jednak nie chciał puścić ręki człowieka, choć otwierano mu paszczę za pomocą dźwi i nożów. Sprawa skończyła się dopiero ośwojony słoń, King, który postawiwszy nogę na grzbiecie krokodyla, rozgniół go tak łatwo, jakby to był zmurszały grzyb...

Skończył i spojrzął na górników.

— No, i co z tego? — zapytał jeden z nich.

Krokodyl nie chciał puścić ręki Murzyna. Puścił dopiero wtedy, gdy słoń stanął mu na grzbiecie i rozgniół go, jakby to był zmurszały grzyb. Wasz węgiel także nie chce „puścić”, chociaż się morduście jak wszyscy diabli, walicie pikami, szarpiecie, a w rezultacie nagrzebiecie węgla do czapki. Przyjdzie kombajn, jak tamten słoń, King, i węgiel „puści”!... Bo musi „puścić”.

Przekonał wszystkich do kombajnu.

Pstrowski, bracia Bugdółowie, Zieliński i wszyscy inni, wielu ich tam było, przekonywali podobnie swych sceptycznych towarzyszy, że nie trzeba mieć tu — wtedy wskazywali na muskuł zgietego ramienia — lecz tu — teraz pukali się palcem w głowę. Chodzi bowiem o to, by wiercić otwory w węglu nie w szablonowy sposób, lecz by trochę pomyśleć, podpatrzeć kierunek ułatwienia ściany i dopiero potem wiercić. Raz na prawo w coś, innym razem na lewo, jeden otwór dłuższy, inny krótszy, czasem na krzyż, czasem niechaj ich kierunki odbiegają od siebie, słowem za każdym razem musi być inne wiercenie. A wtedy bez wysiłku — podobnie jak to było ze Stachanowem — fedrunek wzrasta szybko, wybiega ponad utartą normę, staje się nową normą, przy której i zarobek większy, a równocześnie wysilek fizyczny mniejszy.

— Ktoś może nie ma tego „górniczego rozumu” w głowie, tego samego, który miał rzekomo „durny chłop”. Wtedy jego wyższa norma oparta jest tylko na wyczerpującym go szybko wysiłku fizycznym. W rezultacie wynik taki, że tego rodzaju przodownik pracy po pewnym czasie pozostaje daleko w tyle ze swym fedrunkiem, a sceptycy triumfują.

— A, widzisz, pierunie! Nie go-dolech?... — przechwalają się pod szybem.

Mądrze poczyną sobie Bernard Bugdół. Mianowany dyrektorem „Zabrze-Wschód” jest nie tylko dyrektorem, ale i „fajnistym karlusem i kumplem”. W języku górniczym oznacza to zarnego towarzysza, kolegę i przyjaciela. Nie tylko więc „odwala kawałki urzędowe”, jakie przystoja dyrektorowi w jego biurze, zawalonym papierami, mapami, wykresami i ozdobionym wspaniałą głową górnika, wyrzeźbioną w węglu, lecz przede wszystkim wędruje po dalekich przodkach, filarach i ścianach swej sędziwej kopalni, licząc sobie coś ponad 160 lat, zagląda do każdej „dziury” i okazuje swoje serce „karlusa nad karlusem”!

Przychodzi do przodka i widzi, że strop niedbale podbudowany.

— Ty, Franck! — zwraca się do górnika, któremu może wcale nie jest Franck na imię — a jak myślisz? — i w kazuje kilofiem na strop. — A gdyby tak się kamień urwał spod takiego chacharskiego obudowania, czy nie zrobiłby ci dziurki w głowie?...

— Pieruna, dyrektorze! A dyć mocie prawe! Julek się robi!...

Przyjdzie do innego przodka, po-zdrowi jak się należy, siada na pietach i patrzy, jak kamraci wiercą otwory. Potem podchodzi i zaczyna przgadawać:

— Przeboz, Franck, ale mnie się tak zdo, że ta twoja dziura jest jak szurowo!... A gdybyś ją se tak poprowadził? — wskazuje kilofiem właściwy kierunek. — Widzisz, pierunie morski, że loga (ułatwienie) idzie skośnie. Trzeba ją przeciąć na krzyż, a uwidzisz, pierunie, że węgiel się posypie jak wszyscy diabli!

Istotnie, gdy nastąpi odstrzał, węgla tyle się zwala, że wszyscy górnicy w przodku określają jego ilość, iż go do stu diabłów.

— Widzisz, pierunie, Francku!... Po drugi rok tak se wiercie, byś otworem przelotem loga na krzyż!...

I chociaż dyrektor Bernard Bugdół już jest teraz dyrektorem, który musi „odwalać” uprzykrzone kawałki urzędowe, jego Zabrze-Wschód jest nadal kopalnią, której by się Stachanow nie powstydził.

Gustaw Morcinek



Portret Mikołaja Kopernika wykonany przez Marcellego Bacciarellego, malowany olejno na blasze miedzianej.

JANUSZ KUCZYŃSKI

„REWOLUCJONISTA NAUKI I JEGO UCZEŃ”

410 lat temu, w 1543 roku, Kopernik ogłosił swą wielką teorię. Fryderyk Engels pisał: „Czy-nem rewolucyjnym, przez który przyrodzoność ogłosiła swą niezależność... było wydanie nieśmiertelnego dzieła, w którym Kopernik... rzucił rękawicę kościelnemu autorytetowi w sprawach przyrodniczych. Odtąd datuje się wywołanie nauk przyrodniczych od teologii”...¹⁾ Kopernik na najwyższych piętach naukowej abstrakcji rozprawił się ze średniowieczem i kościołem. Zadał decydujący cios ich ideologii. „Kopernik u-dzielił dymisji teologii” — mówił Engels. Przyrodzoność wyzwała się z pięć teologii, dymisjonowała ją nie tylko w dziedzinie przyrodniczych badań. Dzieło warmińskiego Komisarza i genialnego uczonego zdymisjonowało teologię całkowicie — „przed trybunałem rozumu”. To była najistotniejsza cecha „jednej strony rewolucyjnego czynu Kopernika — strony niszczącej. Rozbicie geocentryzmu likwidowało „po drodze” naiwne, średniowieczne wyobrażenia budowy wszechświata. Zawaliła się urojona hierarchia ciał „sfer” niebieskich, będąca „astronomiczną” sankcją najzupełniej rzeczywistej ziemskiej feudalnej hierarchii.

— Ale przede wszystkim likwidowało przesłanki teologii: fałszywe wyobrażenia, że człowiek — istota centralna i wybrana — jest wyjątkowy ze świata przyrody, i dla niego istnieje cały wszechświat, likwidowało fałszywe rozumowanie, według którego Ziemia znajduje się w centrum wszechświata jako miejsce wybrane, na którym dokonano się cudowne dzieło „odkupienia”; jednocześnie likwidowało drugą stronę wewnętrznie sprzecznego kościelnego mitu, głoszącego, że Ziemia jest miejscem przeklętym, podległym władzy szatana, gdzie człowiek w ciężkim trudzie i wyrzeczeniach zdobywa zbawienie. Dalekosieżne były konsekwencje wielkiego odkrycia.

Rewolucyjny czyn Kopernika miał drugą stronę — stronę konstruktywną. Średniowiecze utraciło rozum — dawny rozum starożytnych materialistów, objaśniających świat w sposób naturalny, jego własnymi czynnikami — i na jego miejscu powstało mistykę i zabobon. Kopernik podniósł podeptany przez kościół rozum materialistów i uczynił z niego po-tężne narzędzie badania świata i kryterium prawdy. Przy jego pomocy odkrył rzeczywistą budowę wszechświata. Wzbogacił materializm, który rozwija się czerpiąc swą prawdę z odkryć nauki. Historia filozofii zna cztery formy materializmu w jego historycznym rozwoju: naiwny materializm starożytnych, mechanistyczny materializm XVII i XVIII wieku, materializm rosyjskich rewolucyjnych demokratów XIX wieku i materializm dialektyczny Marks, Engelsa, Lenina i Stalina. Kopernik odkryciem swym przyczynił się do ukształtowania tej drugiej, historycznej formy materializmu. Przyczynił się do zespolenia materializmu z przyrodzonością. Głosząc, że Ziemia jest jedną z wielu planet układu słonecznego, inicjował naukową uścisnątą materialistyczną ideę jedności wszechświata, a więc i poznawalności jego nawet największych tajemnic. Był to triumfalny okrzyk na cześć ludzkiego rozumu, jego wielkiej siły i nieograniczonych możliwości poznawczych. To wszystko określa wybitne miejsce Mikołaja Kopernika w historycznym kształtowaniu się naukowego światopoglądu.

Wielka prawda i wielka siła zawarta została w wykresach, obliczeniach i naukowym rozumowaniu „De revolutionibus”. A epoka czekała na rozstrzygnięcie: broń do dalszej walki ideologicznej. Trzeba było tej wielkiej siły przełożyć z języka naukowej abstrakcji na język stosunków społecznych, język światopoglądu patników kościelnej dziesięciny i szukającego wolności i prawdy prostego człowieka. Trzeba było wydobyc i pokazać wszystkim rewolucyjny, materialistyczny sens wielkiego odkrycia. A w roku 1543, w roku wydania „De revolutionibus” — jak głosi legenda — w dniu o-trzymania przez niego pierwszych egzemplarzy wydrukowanego dzieła.

17 lutego 1600 roku odbywało się w Rzymie ponure widowisko; na

stosie ponał człowiek, uczony z Noli, i długotłoni więzień inkwizycji — Giordano Bruno, z polecenia „zastępcy Chrystusa na ziemi” — papieża — skazany na śmierć wyrokiem kongregacji kardynałów. Nolańczyk ginął za głoszenie wśród ludu włoskiego i uczonych Europy prawdy o wszechświecie.

Gdy nauka Mikołaja Kopernika dotarła do poszukującego prawdy — „pokarmu duszy” — umysłu Bruna, dostrzegł jej rewolucyjny materialistyczny sens, jej wielką prawdę i siłę. Pelen po żywio i czci dla swego poprzodka — nauczyciela pisał:

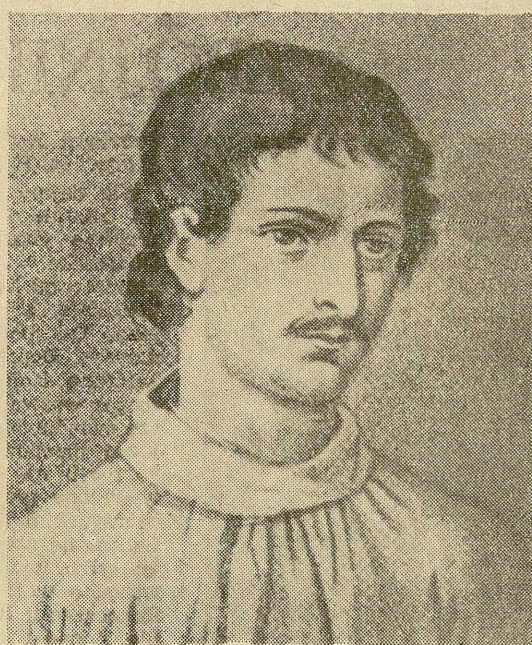
„Umysłu twego nie tknęła
nikczemność wieków ciemnoty,
A głosu nie agluszyl wrzask
hałaśliwych głupców,
Szlachetny Koperniku, którego
dzieła-pomniki
W latach wczesnej młodości myślał
naszą wstrząsnęły”²⁾

Giordano Bruno wyciągnął filozoficzne wnioski z odkrycia Kopernika, rozbudował i rozwinął jego teorię. Będąc kontynuatorem materialistycznej linii filozofii, zwracając się wzorem najbardziej postępowych ludzi Odrodzenia do filozofii Heraklita, Demokryta, Epikura i Lukrecjusza, w nauce Kopernika dojrzał podstawę, w oparciu o którą rozwijał dalej materialistyczny światopogląd, zespolił materializm z nauką, oparł go na jej fundamentach. Kopernik przygotował, a Bruno zrealizował dojrzałe już przejście materializmu w jego wyższą fazę rozwoju: materializm mechanistyczny XVII i XVIII wieku.

Powstała genialna, wychodząca z nauki Kopernika, materialistyczna wizja nieskończonego wszechświata. „Jak z okna pokoju widzisz tylko nieniczone przelatujące ptaki — mówił Nolańczyk — tak z Ziemi widzisz tylko niektóre z niezliczonych światów; a liczba tych światów jest nieskończona w ogromnych przestrzeniach wszechświata. I wszystkie one są podobne do siebie: na wielu z nich — tak jak na Ziemi — istnieje warunki życia i rozumne istoty. W całym wszechświecie występują jednolite prawidłowości — można więc poznawać go w nieskończoność, badać siłą ludzkiego rozumu”.

Wielka teoria polskiego uczonego ukazywała światu swą siłę. Z prawdy jej wynikały nieuchronnie ateistyczne konsekwencje. Wniosek. Giordano Bruno — bohater nauki — mówił przed inkwizycyjnym trybunałem: „Oświadczam, że istnieją niezliczone poszczególne światy, podobne do naszej Ziemi, która... uważam za taką samą gwiazdę jak Księżyc, planety lub inne niezliczone gwiazdy. Wszystkie te gwiazdy uważam za światy. Mnogość jest ich nieograniczona. Tworzą one w nieskończonej przestrzeni nieskończoną naturę i to nazywam nieskończonym wszechświatem, w którym zawarte są niezliczone światy. W ten sposób istnieje dwójakiego rodzaju nieskończoność — nieskończona wielkość wszechświata i nieskończona mnogość światów, z czego pośrednio wynika zaprzeczenie prawdy opartej na wierze.”³⁾

Niszcząc przesądne wyobrażenia siły i odkrywając prawdę nauki Kopernika przełożył Bruno z języka naukowej abstrakcji na język spragnionych wolności i ziemskiego szczęścia ludzi Odrodzenia. Tę prawdę głosił w swych licznych dziełach, adresowanych do włoskiego ludu: pisał językiem ojczystym, aby być zrozumiałym dla wszystkich. Prawdę kopernikowskiej nauki propagował odważnie i nieustraszenie w uniwersytetach Europy, nie bacząc na to, że spotykały go za to przesładowania. Głosił wytrwale i wszędzie światopoglądowe konsekwencje dzieła Kopernika: a więc to, że nauka przeczy teologii i wykazuje jej fałszywość; że człowiek tylko rozumem może poznać świat i nim może go poznawać w nieskończoność; że fałszywymi są średniowieczno-kościelne wyobrażenia budwy wszechświata i mylą się teologiczne autorytety; że człowiek jest częścią przyrody, a Ziemia — jedną z „gwiazd”. Zaprzeczył Tomaszowi z Akwinu, który twierdził, że świat jako dzieło bo-



Giordano Bruno

nie może być nieskończony; a więc głosząc nieskończoność wszechświata, negował, aby był on stworzony przez Boga.

Wszechświat jest nieskończony: nieskończony w przestrzeni i czasie, Z wieloletniego badawczego wysiłku Kopernika, z rewolucyjnej jego myśli i myśli jego następcy i ucznia — Giordano Bruno, powstawała naukowo uzasadniona materialistyczna idea jedności i wieczności wszechświata. A wraz z odkrywaniem wielkiej prawdy człowiek wyzwalał się z przesądów. Prawda i siła nauki Kopernika, ujawniona i wzbogacona przez Giordano Bruno, wystąpiła w filozofii Nolańczyka jako oręż w realnej walce politycznej i ideologicznej przeciw feudalnej jeszcze wszechwładzy kościoła. I wspaniałe dialogi „O nieskończoności, w wszechświecie i światach”. „Uczta popielcowa”. „Uśmiercenie triumfującej bestii” — zawierały nie tylko tezy rozwijające naukę i filozofię: usuwały jej też z drogi rozwoju zwykłe błędów „wulgarnych filozofii”, przesądów i kłamstw „ciemnoty”. Krytyka ideologii kościoła zbiegała się ściśle u Giordano Bruno z krytyką jego praktycznej działalności politycznej: oszukiwania i wyzyskiwania ludu, szerzenia ciemnoty i hamowania postępu społecznego i postępu ludzkiej myśli. Bezlitośnie obnażała perfidie kościelnego wyzysku: „Widziałem, jak mnisi z Castello w Genui pokazywali prz z krótką chwilę wiernym wyjęty z pokrowca ogon osła, który dawali ludowi do całowania, wykrzykując przy tym: „Nie dotykajcie! Ogłądajcie i catujcie! To jest święta relikwia błogosławionego osła, który zaszczycony został tym, że niósł Pana Naszego na Górze Oliwnej w Jerozolimie. Uwielbiajcie go, catujcie go! Dawajcie jałmużnę, Stokrotnie będzie Wam to zwrócone i zyskacie sobie życie wieczne!”⁴⁾ Atakuje jedną z podstaw potęgi kościoła — jego bogactwa: „Aczkolwiek wiele szanuje Mądrą Republikę Wenecję — mówił do jej mieszkanca, szlachcica Giovanni Mocenigo, który zaprosił go do swego domu, a później wydał inkwizycji — nie rozumiem jednak, dlaczego pozostawia ona tyle bogactw w rękach mnichów. Należałoby postąpić tak jak we Francji... gdzie mnisi jedzą trochę zupy, jak przystało, wszyscy bowiem, którzy w naszych czasach wstępują do klasztoru, są wielkimi osłami.”⁵⁾

Nauki Giordano Bruno, propagujące w uniwersytetach i miastach Europy teorię „Kopernika, ukazujące jej rewolucyjną, materialistyczną zawartość, głoszące prawdziwą i wyzwalającą wizję wszechświata, atakujące obskurantyzm kościoła i barbarzyństwo jego ideologii, stały się ideologiczną bronią ludzi Renesansu w walce z feudalno-kościelną reakcją. Z dzieła wielkiego polskiego uczonego wyszły Nolańczyk, jego uczeń, zawartą w nim siłę i uczynił narzędziem walki o postęp społeczny i rozwój nauki. I za to zginął z wyroku papieskiej „inkwizycji”. Pierwszy akt dramatu, którego początkiem był rok 1543, zakończył się 17 lutego 1600 roku na Campo di Fiore.

Ale nauki, którą stworzył Polak Mikołaj Kopernik i za którą zginął jego uczeń, następca i kontynuator, Włoch Giordano Bruno, nie mogły zniszczyć siły reakcji: była nauką prawdziwą i stała się symbolem postępu i odwagi ludzkiego myślenia. Kopernik w wieku XVI podniósł podstępny przez średniowieczny kościół rozum starożytnych materialistów i uczynił go sztafardem naukowych badań. Dziś marksizm podnosi zdeptaną i sfalszowaną przez kościół i współczesną burżuazję teorię wielkiego polskiego uczonego i imię jej twórcy czyni sztafardem idei naukowego i społecznego postępu. A polski lud dziś, w 410 lat po roku 1543, uroczystość i z dumą czci za-sługi i pamięć swego wielkiego uczonego.

Janusz Kuczyński

¹⁾ F. Engels — „Dialektyka przyrody”, „Książka i Wiedza”, 1952, str. 8.

²⁾ „Giordano Bruno przed trybunałem inkwizycji. Akta procesu”, „Książka i Wiedza”, 1953, str. 15.

³⁾ Tamże, str. 58.

⁴⁾ Tamże, str. 142.

⁵⁾ Tamże, str. 47.



Wcale nie zdychają. Pięknie to wykładał Bernard Bugdół.

Opowiadał mi, jak raz był świadkiem zabawnej sceny. Jechał swoją „Iłą” i na drodze do Wisły napotkał samochód stojący beładnie obok drogi. Obok samochodu zaś stał również beładnie trzej mężczyźni. Jeden z nich kierował wozem i widząc, że kierowca od siedmiu toleści, dwaj inni byli widocznie jego kolegami. Okazało się, że przednie prawe koło „złapało gwóźdź” i usiadło na sfilczonej oponie. Prosta rzecz — zmienia się wtedy koło i jedzie się dalej. Tamci trzej wiedzieli dobrze o tym i koło zamierzali zmienić, le z „nawalim” lewarek. A jak tu teraz podnieść wóz, by zmienić koło? To ci dopiero dy-lemat!... Próbowali wspólnymi siłami unieść go z boku i podsuwać kamienie pod ramę. Nic z tego. Wóz za ciężki, kamieni zaś nie sposób tak ułożyć, by tworzyły podstawę. Droga przechodził chłop. Przystanął i przez chwilę patrzył na ich bezpłodną morderę.

— Ojciec, pieruna, chodźcie pomóc! — poprosił jeden z tamtych nieszczęśliwów.

„Ojciec” uśmiechnął się chytrze i obiecał pomóc. Prosił, żeby mieli jeszcze trochę cierpliwości, że on im zaraz pokaże, jak podnosi się samochód bez lewarka.

— Durny chłop! — mruknął trzeci nieszczęśliwiec, lekko obruszony protekcjonalnym tonem chłopca. Tymczasem „durny chłop” poszedł do swego obecnica, znajdującego się tuż obok, wyszukał spory drag, wyszukał mniej spory pniak i to, o czym już kiedyś Archimedes uczył, a czego uczą się dzisiaj mistrzys w szkole podstawowej, zastosował w całej rozciągłości, chociaż o Archimedesie nigdy nie słyszał,

Rewelacja były pierwsze wycyny Pstrowskiego, Bugdoła i Zielińskiego. Schodzili się kamraci do ich przodków i patrzyli sceptycznie na ich nowe sposoby wiercenia otworów w całości.

— Ha, pieruna! — mruździ. — Mój staryk wiercił po staremu, mój ojciec tak samo wiercił jak staryk, ja też samo, jak staryk i ojciec, i dobrze było, a tu naraz jakieś nowomodne wynysy!...

Górnicy jest bowiem konserwaty-stą. Niechętnie porzuca wypróbowane przez całe pokolenia metody pracy, by je zastąpić nowymi. Po prostu nie dowierza im i nazywa je pogardliwie „nowomodnymi wynysami”. Tak długo, aż się do nich przekonają.

Gdy zastosowano pierwsze kombajny w jednej z naszych kopalni, trudno było przekonać starych, doświadczonego rębaczy, że kombajn wyręczy człowieka w pracy. Ich sceptycyzm sięgał tak daleko, że radowali się, gdy kombajn raz idugi legł pod zarwanym stropem. Wszelkie piękne słowa o wysiłku pracy, o planie sześciolatnim, o pokoju nie miały się ich głów i serc. Przekonał ich niesłychanie prosty argument. Oto jeden z inżynierów przyniósł do soba do kopalni Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”. Chytrze bowiem wykonywał, że poniałwał sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej jest tutaj bezsilny, zebrał i deklamuje mówców, naszpikowane wzniosłymi słowami, także bezsilne, to może chyba „chwyci” Sienkiewicz. I chwycił! Inżynier kazał załodzić z dotychczasowego odcinka spocząć, usiąść gdzieś wygodnie i zapowiedział, że im coś przeczty. I przecztał małeńki fragment z powieści Sienkiewicza. Oto karawana Stasia we-

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

O ZBOJNIKU CO RÓWNAŁ ŚWIAT



foto Dorys

KSIĘGA historyka najczęściej potępiała legendę. Ludowa fantazja, skazana na pamięć ludzką, trwała, ale mniej wierna o kronik, przekazywała pokoleńom rzecz innej ceny — marzenia ludu, odbijające w wielkim, żywo-łowym symbolu pragnienia społeczne warstw uciskanych. W epokach formacji klasowych podstawowa dążność i marzeniem była wolność i równość społeczna. Nędza i pragnienia ludu podgrzo-ł stworzył podania o zbojnikach. Na Żywiecczyźnie jest Proćpak, na Bukowinie — Ketara, na Rusi Podkarpacie — Marczaj i Dańka, na Rusi Czerwonej — Madej, Huculszczyźnie — Dobosz, Lemkowszczyźnie — Barnas, w Słowacji — Janosik, na Śląsku za Odrą — Ondraszek. O „Ondraszku” mówi ostatnia powieść Gustawa Morcinka.

„Ondraszek” jest jeszcze jedną legendą o zbojniku z Zielonego Śląska z przełomu XVII-XVIII wieku. Jeszcze jedną — bo przekształcał Ondraszkowi w zbojnikowi wielu pisarzy, znęconych bujnością jego życia. Pisarze czescy i morawscy XIX wieku stepu-ł mu zbojnicki obuszek i uczynili go jakimś śląskim Don Juanem, „kto-ry poszedł dlatego w zbroję, że miał romantyczną historię z hrabiną Przmą”. Ondraszek pociągł równie-ż pisarzy polskich na Śląsku (Robert Janibal (Czanibal), Emanuel Grim). Wreszcie przyszła książka Morcinka.

„Ondraszek” stanowi dzieło niemal całego okresu pracy pisarskiej Morcinka. Szczęśliwie pojawia się w jego twórczości już w r. 1932 na łamach „Zarania Śląskiego” i w tomie „Chleb na kamieniu”. Zestawienie i porównanie tych fragmen-ł z wydaną niedawno książką, nie jest zabiegami czysto formal-ny. Daje nam możliwość prześle-żenia procesu pracy nad książką. Zmiany tekstu, jakie spotrzegamy w stosunku do rozdziałów „Zarania Śląskiego” i „Chleba na kamieniu” idą w kierunku nasycenia tekstu realiami historycznymi. Zaostrza się u Morcinka realizm obserwa-ji. Równoległe z korektą obrazu artystycznego, przetrzebił Morcinek chwasty młodopolskiego języka, które bujnie pleniły się w rozdzia-łach lat 1932 — 35. Zwalasza w u-życiu gwary.

Co wnioś nowego „Ondraszek” Morcinka w stosunku do zastanego materiału legendowego? Jakże o-ściąganie estetyczne — ideologiczne tej książki — warto są baczną uwa-ż?

Zacznijmy przede wszystkim o głównego bohatera utworu — Ondraszkę Szczęstę. Dialektyczna prawidłowość rozwoju tej postaci jest w ogóle chyba najbardziej u-łdaną w twórczości Morcinka, który nie bardzo sobie radzi z przemianami wewnętrznymi bohaterów. Przekonuje nas warcholstwo mło-łości Ondraszki, podsypane dumą ojca, bogatego, dziedzicznego wó-łta z Janowic. W zwirzonym łbie chłopca nie ma jeszcze ani jednej myśli poważniejszej. To wiatr hal-ny, halujący bez celu i bezkarnie. Na zamku grafa Przmę spotrzega niedole poddanego. Żywiłowo roz-prawia się z wykonawcą woli cie-mięży — włodarem Bączkiem. Garbuje mu skórę jego własnym batem. Zdrada grafiny Lizetty, o-krutenstwo wyroku grafa Przmę napajają Ondraszkę jedynie po-żuciem krzywdy osobistej. Zależ-ki solidarności ze społeczeństwem pojawiają się w zetknięciu z nędzą bytowania gwarków w kopalni pod Tarnowskimi Górami. Bestialstwa klucznika świerklineckiego zamku, Piotra Piekicłnika (zakucie w dyby starca — ojca Moronia, za niesta-wienie się do pracy w dukli) staje się przyczyną buntu spowiernia-nych gwarków, którym przewodzi Ondraszek. Ale i tutaj jeszcze rzą-ł żywiołowość. Myśl o zbojnic-łwie jest jeszcze nieobecna. Poja-łwa się ona dopiero w czasie służ-ł w szeregach kuruców Rakocze-łgo, walczących o wyzwolenie Wę-łgor spod władzy Habsburgów. Jest to jednak także myśl o zbojnic-łwie żywiołowym. „Uśmiechnął się Ondraszek do tamtej zuchwałej myśli o zbojach. Ha! Wcześniej czy póź-niej pójdzie w zbroję... Gdy mu zmierznie wojowanie w regimencie kuruców dla obecnej sprawy Ra-ko-łczego, skrzyknie kamratów i pó-łjdzie. Bo czy zwycięży Rakoczy, czy Habsburg, nie się nie zmieni w

twardym żywobyciu słowackiego chłopca” (s. 196).

Nie dajmy się jednak zmylić tre-łci ostatniego zdania. Treść ta nie przylega jeszcze do działalności Ondraszki. Morcinek tutaj zbyt przyspieszył kroku, jak gdyby chcą-ł uprzedzić zniecierpliwienie czytel-łnika. Tak pomyślał autor, nie On-łdraszek. Dopiero bunt w szeregach kapitana Kolomana (wojsko Ra-ko-łczego) wyzwała w Ondraszku głę-łbszą świadomość sens walki, ludz-łkiego działania. Znamienne są je-łgo myśli na str. 232: „Cóż znacz-ł wywołany przez niego bunt w de-łbreczyńskim regimencie kuruców? Ludzie się wzajemnie wymordowa-łi, on tylko wyratował Cygana Petro-łwicza, a wojna między kurucami Rakocznego a Rakuszanami nie usta-łnie i nadal będzie przekleństwem dla słowackiego chłopca”. Tutaj o-łstatnie zdanie jest już organicznie związane z postacią Ondraszki. Treść jego poddana jest próbie praktyki, uczestniczy w losie boha-łtera, dojrzewa w gorczyce społecz-łnych doświadczeń. Ondraszek na-łgle zapragnie zostać następcą Chmielnickiego, Kostki Napierskie-łgo, Kaspra Piki... Przekonywają-łym momentem przełomu w świa-łdomości ideologicznej Ondraszki jest śmierć Janosika. Napad na za-łmek łankoroński ma tylko konse-łkwencję, być może nawet wbręł intencji autora, materialną; zaop-łatrjuje kiesy z huculickimi w talar-ł. Ondraszek w pierwszej chwili zde-łcydowany jest uwolnić skazanego na śmierć Janosika. Kiedy jednak pisarzku sąd przedstawia Ond-łdraszkowi rejestr czynów Janosika, nie wychodzących poza zwykłe „zbijanie” — Ondraszek cofa swoją decyzję. Momentem decydującym dla niego jest brak udziału Janosi-łka w walce o sprawę chłopską. Trezba przyznać, że Morcinek akcję poprowadził tu śmiało, wypowie-łdzał ją z dużą sugestią artystycz-łną, opartą o konsekwentną linię wzrostu świadomości społecznej Ondraszki. Ondraszek będzie po-łtem żałował swego postanowienia — zrozumie okrucieństwo wyroku magnackiego, zrozumie, że są dwie sprawiedliwości — jedna dla pa-łnów, druga dla chłopów. Ale pierw-łszy odruch jest zupełnie zgodny z jego żywiołową naturą. Zapewne w decyzji tej, którą ze względu na brak dokumentacji, można interpre-łtować z dużą dowolnością, wielką rolę odegrała zadawniona uraza Ondraszki do Janosika. Janosik zmusił kuruców ondraszkowych do złożenia sobie przysięgi na werno-łść, wbręł moralności zbojniczej. Ale Ondraszek zbuntował się przede wszystkim przeciwko lich-łcie czynów Janosika.

Dojrzewa w Ondraszku świa-łdomość, że jedyną drogą przeciwsta-łwienia się krzywdzie społecznej, nieludskości feudałłów jest poru-łszenie jak najszerszych mas chłopskich w walce przeciwko zamkom fry-łdeckim i łankorońskim, gdzie za-łnieżdżili się oprawy biedy, ra-łbusie krwawicy chłopskiej. I wów-łczas zjawia się z posłannictwem Szczęsny Łętowski, aby przekazać Ondraszkowi dziedzictwo krwi Kostki Napierskiego i Stanisława Łętowskiego, marszałka chłopskie-łgo. Ondraszek to dziedzictwo prze-łjmuje. Niestety, pada na progu wal-łki.

Drugą niewątpliwie udaną posta-łcią „Ondraszka” jest Braciszek — „wypędek klasztoru o gębie sowi-łzdrzala”. Postać to bardzo typowa dla stosunków feudalnych, dla doby ostatecznego skostnienia scholasty-łki kościelnej. Jest to ludowy mę-łdrek, okpiświat, dobry kompan i za-łżarty wróg magnatów. Morcinek wyprowadza jego rodowód od Za-łgloby, martwiącej się, chyba przed-łwcześnie, że mu ktoś wypomni o-ł koligację. Gdzie mu tam do Zagło-łby! Rodowodu Braciszka należy szu-łkać nie u Sienkiewicza, lecz w li-łteraturze rybałtowskiej. Mędrkowie tacy pojawiają się u Morcinka już jako pewien nawyk. Wystarczy przypomnieć Tykę z „Urodzaju lu-łdzi”, czy Jurę Probosza przezwane-łgo Sowidrzalem z „Pokładu Jo-łanny”. Ale Braciszek przewyższa ich rozmachem życia, mądrością ludo-łwą, na którą Morcinek jest szcze-łgólnie uculony.

Braciszkowski dał autor szcze-łgólną rolę — ukazania procesu tworzenia się legendy o Ondraszku. To on, na oczach czytelnika, czyni z Ondraszki niezwykłego charak-łternika, puszczającego w obiegnie-łprawdopodobne wieści o jego sile nadprzyrodzonej. W dolinie, wśród wrogów i przyjaciół zaczynają one krążyć, jako prawda udowodniona. Jesteśmy świadkami narodzin wół-łtego żółdka legendy. Pomysł z odkryciem narodzin legendy o On-łdraszku, nie przeprowadzony w-łprawdzie konsekwentnie, należy do najlepszych zabiegów ideologicz-łnych i artystycznych „Ondraszki”.

Rozwój głównego bohatera i po-łstać Braciszka są przekonująco. Przekonuje również obraz krzywdy chłopskiej ukazany na kartach po-łwiesci. We wstępie czytamy o wni-łkliwych studiach historycznych au-łtora nad sprawą chłopską na Ślą-łsku, na przełomie wieku XVII — XVIII. Szczególnie cieszę mnie sło-łwa uznania, jakie ma Morcinek dla Franciszka Popiłka, autora Dzie-łłw Śląska Cieszyńskiego i Ludwi-łka Brożka. Stąd zapewne czerpa-łł się dobrą wiedzę. Ale reszty doko-łnywała intuicja twórcza.

Morcinek w swym oskarżeniu krzywdy chłopskiej wyszedł z fak-łtów historycznych i z oświeceni-ł

wej, antyfeudalnej publicystyki. Jego Ondraszek przemierza świat i przetwarza go w sobie, jak wę-łdrujący filozof Oświecenia. „Wę-łdrował więc (Ondraszek) i patrzył innymi oczami na ludzkie życie. Zzywał się na widok chłopów za-ł plugiem, przywiązanych drobny-łm łańcuchem do czepli, patrzył z-ł gniewem, jak włodarze walił ich-ł bykowcami po schylonych grzbie-łtach, jak chłopci grzebali w ziemi, opaleni, kudłaci, w jakichś łachma-łnach, jak zapili się dworską wó-łką, którą przecież trzeba było wy-łpić, bo czy ją wypili, czy nie wy-łpili, zapłacić za nią musieli pa-łnu. Słuchał ich narzekania i utyskiwa-ł, że zdumieniem spoztręgał, że wszy-łscy są podobni nie do ludzi, lecz do roboczych bydła, zawszonych, brud-łnych, ówzrodzonych, cuchnących i-ł zalekionych...” (s. 231-232). A oto-ł stosunki na zamku łankorońskim: „Starościna Marianna ze Stad-łnickich, chociaż szczerze wyposa-łżona klasztoru opolskie, nieenie sobie poczyła wśród swych chłopów pańszczyźnianych, gniejąc ich po-łnad wszelkie wyrzucenie, mnożąc robociznę i posługi zamkowe po-łnad wszelką miarę, łupiąc z poddanych-ł skórę, otracząc nim, bijąc, w ga-łsiorzy zamkając, nawet na zbie-łgownicy wieszając za byle drobne-ł przewinienia (...) Bieda tam była-ł stonremna — głód, choroby, wszy, koltun, grzech, przekleństwo — i-ł słuszenie wszyscy powiadali, że-ł starościna Marianna ze Stadnickich-ł wysysa nie tylko siły chłopskie, ba-łbskie i dziecięce, lecz wysysa ich-ł krew niczym prawdziwa mora. Lu-łdzie bowiem marli z wycieńczenia i-ł chorób, a tamta laziła z harapem-ł po chałupach, podobna do brucha-łtej czarownicy i bykowcem pra-łła, spędzała konających z barłogów, do pracy na pańskim zaganiala” (s. 265). Nie moczmy przykładów. Są-ł wystarczająco sugestijne, aby od-łnaleźć je w książce. Szkoda tylko, że Morcinek ukazał je często zbyt-ł statycznie, a nieraz jedynie w nar-łracji.

Ale bał nie zawsze potrafił ujarz-łmić zbuntowaną duszę chłopską. Często działał się wręcz odwrotnie — i pańskie dziedziny nawiedza-łł czerwony kur. Waznym czynnikiem w ujarzmiu sił chłopską gro-łżąc-łgo buntiem, była ciemnota, zabo-łbon. Wiele napisano u nas o pro-łcessach ciemnoty. Morcinek wy-łciagnął z tego wnioski ideologicz-łne i artystyczne. Tak, jak poprzez-ł postać Braciszka ukazał Morcinek-ł źródło ondraszkowej legendy —- po-łprzez postać pała Santariusza, zgorzkniałego kaznodziei na zam-łku frydeckim, odstąpił nam źródło i-ł funkcję zabołonu. Pater Santari-łus, sługa boży inkwizycji i feudałłów, jest świadom, że ciemnotę można-ł wykorzystać do odwrócenia uwagi-ł plebsu od krzywdy społecznej. On-łdraszek padł ofiarą zresztę wyko-łrzystanego zabołonu, kiedy to kler-ł zdołał wmówić tłumom, że czarny-ł mór jest karą boską za zmo-łwę z-łbojętą z Ondraszkim. Sprawy On-łdraszki grzebie klasza żywiołowa, niedojrzałość ideologiczna mas-ł chłopskich. Cios zdraycy Jurasz-łka zabija hetmana już pokonanego. Szczęsta pada w połowie drogi.

W połowie drogi potyka się rów-łnież Morcinek.

Chodzi przede wszystkim o nie-łkonsekwencję rozwoju wątków le-łgendowych. Jeden z nich szczęśli-łwą inwencją wyprowadza pisarz z-ł plebejskiej fantazji Braciszka: są-ł to mity o niesmiertelności Ondrasz-łki, o tym, że go nie mają się kule, że-ł trzyma pakt z diabłem. Jest to w-łreszcie zresztę wykorzystany w ak-łcji mit o obusku Ondraszki. Morcinek zalał jednak konse-łkwencję tej postawy. Wprowadził na serio mit o inkluzie i flicie za-łrodziejskim cygana Marko. Nawet-ł diabol — najsilniejszy żywioł-ł ludowej fantazji, przedstawił Mor-łcinek w „Ondraszku” jako wytwór-ł chorobliwego majaczenia („U Baby-ł Lucy”), a inkluza i flet o-łł dla-ł mroku średniowiecza. Te dwie po-łstawy wobec legendy niewątpli-łwie kłóć się ze sobą. Pokrzyżowały-ł się tutaj zapewne: chęć wiernego-ł przekazania klechdy i twórcza pra-łca pisarza, oparta o materiał histo-łryczny. Legenda ludowa żywiołowo-ł prowadziła autora w innym kieru-łnku, a autor nagiął ją ku historii, ku racjonalizmowi, materialistycz-łnej interpretacji fantastycznej fa-łbuli. Co innego jest przecież histo-łria biczowników, a co innego som-łnambuliczny taniec tłumów pod-ł zbiegnięcia, wywołany przez cza-łrodięszkę (s. 235).

Dalszy sprzeczki budzą elementy naturalizmu w „Ondraszku”. Ude-łrżają one w scenie obrzydliwych-ł pieszczót starego rektora Miscetu-łsa, w opisie jego zwłok. A już-ł wręcz naturalistyczny jest opis za-łbijania ins-łków przez grafinę Li-łzettę Przmową. Morcinek zbyt u-łłwa efektywność, pociągą go sensa-łcja, egzotyka. Stąd tworzenie się ak-łcji pobocznych, „zagubionych chod-łników”, gdzie łatwo o przygodę, jak i o guz... autorowi. Taką funk-łcję pełni w „Ondraszku” nie związ-łany organicznie z akcją rozdział pt. „Infamias”. Rozdział „Burmistrz-łka Gryzelda” był w roku 1932 o-łublikowany jako nowela, stanowią-łca odrębną całość i tę cechę odrę-łbności zachował w powieści — mi-łmo że autor zwał go w zakończeniu-ł z „Ondraszkim”. Poza tym rozdział-ł ten oddział jeszcze jeden prze-łjaw niepokojącego nawyku Morcinka — powtarzania postaci. Burmistrz-łka Gryzelda, mieszczańskie-ł ciętłoko ulega Italczycowi Ferdi-

nandowi kurucowi, a potem z-łbo-łnikowi ondraszkowemu. Postać-ł ta zbyt przypomina Strandelę z „Po-łkladu Joanny”, którego ojczy-łną-ł właściwą są również Włochy. A-ł Morcinka przecież stać na postacie-ł nowe i odkrywcze.

W uwagach krytycznych musimy-ł się jeszcze chwilę zatrzymać nad-ł klimatem historycznym i obczajo-łwym „Ondraszka”. Wstęp Morci-łnka do powieści, zawierający opis-ł stosunku do źródeł historycznych,-ł które autor wykorzystuje jako tło-ł epoki, upoważnia mnie do uważ-łnego traktowania materiału powie-łściowego. Książka zawiera w so-łbie niewątpliwie rzetelny ładunek-ł historyczności. Uczoność kart „On-łdraszka” jest czasem przejawem-ł wyzłości. Tytuły dzieł, rozpraw teo-łlogicznych, terminów scholastycz-łnych często żyją same dla siebie, jest ich zbyt wiele. Ale nie tylko-ł o to chodzi. Chodzi o to, czy w-ł pewnych wypadkach rzetelność histo-łryczna nie zawodzi. Oto np. pater-ł Földyn, trzymający się zbojnikami, przeciwstawiony świadomie sa-łtanicznemu trochę patrowi Santari-łusowi, tak mówi do Ondraszka o-łnędzy chłopskiej: „Widzę miliony-ł stworzeń, z których jedne wspóln-łgo chodzą, inne łachmanami okry-łte, a w łachmanach wszy gmera-łją! A miliony tych chłopów, wszy-łschle, wynędziałe, obrosłe, zakop-łciałe! Oczy głęboko w głowie zapa-łd! Dychawicami piersiami bez-łustannie robią! Pospęnie, zadurza-łł i głupie! Mało co czują i mało-ł myślą, a to ich największą szczę-łśliwość. Ich postać z pierwszego-ł wejścia więcej podobieństwa oka-łzuje do zwierza aniżeli do człowieka” (tłd. s. 279). Słowa te są wypowie-łdiane gdzieś około roku 1710, w-ł każdym razie przed śmiercią Janosi-łka, która miała miejsce w roku-ł 1713. A przecież są to niemal iden-łtyczne słowa wielkiego ideologa-ł Oświecenia — Stanisława Szas-łkiego, napisane w r. 1730 w „Prze-łstrzęgach dla Polski”.

Jeśli jest nawet uzna, że obraz-ł krzywdy chłopca na Śląsku na-ł przełomie wieku XVII-XVIII mógł-ł być wypowiedziany ustami pała Fo-łldyna, w sposób identyczny, jak-ł czyni to najbardziej postępowy-ł ideolog Oświecenia — pozostaje-ł sprawa wskazania źródła w przy-łpisie, właśnie w imię owej rzetel-łności historycznej, akcentowanej-ł w przedmowie. Ta druga uwaga-ł dotyczy również słów kazania pała Santariusza w kaplicy frydeckiej, krytykujących strojenia się bia-łłogów, beznamiętnie tracących czas-ł przed lustrem. Słowa te możemy-ł bez trudu odnaleźć w „Monitorze” z roku 1767 nr 102. Być może-ł Morcinek znał owo tekst z późniejszego-ł przedruku, ale i w tym wypadku-ł należało badać wspomnieć o me-łtodyce posługiwania się tekstem-ł drukowanym. Niepokój budzi rów-łnież treść „listu z nieba” piera Braci-łszka (s. 369-371), niewiele odbiega-łjąca od ideologii „Złotej księżecz-łki” Sciegiennego, powstałej w po-łłowie XIX w!

Morcinek, sięgając do legendy o-ł Ondraszku, stanął przed bardzo-ł trudnym zadaniem — ocalenia-ł Ondraszkę przed błędami poprzę-łdków. I zadanie to w dużym stop-łniu spełnił. W większości wypad-łków umiejętnie nasylił tło legendy-ł i klimatem obyczajowym „On-łdraszek” jest legenda o nowych-ł treściach i nowych walorach ar-łtystycznych. O nowej treści mor-łcinkowej legendy decyduje uogólni-ła prawda o biedzie chłopstwa na-ł Dolnym Śląsku na przełomie XVII-ł XVIII wieku. Morcinek ukazał-ł społeczne źródła zbojnicłwa —- nęd-łzę chłopstwa podgórskiego. Zródło-ł to w literaturze było zasymp-łnowane śmieciami romansu awan-łturniczego. Poza tym ukazał przekonują-łco psychologicznie i literacko dro-łgę rozwoju bohatera. Wprawdzie-ł zachowane elementy legendowe-łgo przeznaczenia, determinizmu za-łpowa-łdają niezwykłość tej drogi, lecz-ł Morcinek w realnych wymiarach-ł rzeczywistości ukazuje jak, i w-ł warunkach jakiego doświadczenia-ł osobistego i społecznego (tych-ł doświadczeń w ogóle nie można-ł o siebie odrywać), wyrostek, pod-łnoszący na ojca rękę, ubrojoną no-łżem — wyrównał na hetmana z-łboj-łnickiego „rownającego świat”!

„Powieść pod tytułem „Ondra-łszek” — czytamy w przedmowie-ł słowa autora — powstała, jak-ł każda inna książka. To znaczy: z-ł materiałów, życia, twórczej fan-łtazji, pracy, śleżenia nad starymi-ł spzartkami i z wielu innych rzeczy. Je-łdną z nich, może najważniejszą, by-łło pragnienie, żeby l e g e n d e-ł śląską (podkreślenie moje) o z-łbo-łjęckiej swobodzie i chłopskiej-ł tęsknocie za wolnością przekaza-łł ludziom, którzy o tych sprawach-ł mało wiedzą” (s. 5).

Trzeba więc przy spojrzeniu na-ł nową książkę Morcinka wychodzić-ł od zamierzeń autora. Trezba-ł uwzględnić materiał historyczny-ł książki w rozmiarach, na jakie-ł pozwalał sam autor. Spojrzenie-ł na Ondraszkę jedynie od strony-ł historycznej, nie da właściwych-ł rezultatów. Niech urok legendy-ł ulubio-łnej przez lud Śląska i matkę-ł Morcinka, sterana „ograbule” pra-łcującą niegdyś na szybie „Jana” w-ł Karwinie — działa. A jeśli-ł szperacz wygrzebił materiały-ł zagro-łżające legendzie? Nie lekceważmy-ł tego. Wtedy Morcinek obronił-ł ond-łraszkwym obuskiem, który, jak-ł wieśm niesie, jest w jego-ł posiadaniu.

Tymoteusz Karpowicz



SŁAW KRZEMIEN

O powieściach Wandy Melcer

W ciągu ostatnich dwu lat wyszły z-ł druku trzy powieści Wandy Mel-łcer. Pierwszą z nich „Ameryka-ł szuka plechura” — jest powieścią-ł o dwyeri i szpiegowstwie w naszym-ł kraju. Druga („Powrót kapitana-ł Czapi”) opowiada o rozwoju wsi na-ł przykładzie jednego z państwowych-ł gospodarstw Rolnych. Trzecia wresz-łcie („Stalek 1092”) — jest powieścią-ł, której tematyka dotyczy wojny ba-łkierologicznej w Korei.

Z wszystkich tych trzech książek-ł najistotniejsze znaczenie ma powieść o-ł kapitanie Czapi. Do źle kierowanego i źle prosperu-łjącego PGR w Jarosławcu przybywa-ł wojska wyrobyni aktywista partyjny-ł — kapitan Czapia, opierając się na-ł najwartościowszym członkom-ł miejscowego kolektywu, rozpoczyna-ł walkę o poprawę sytuacji ekonomicznej-ł PGR. Sytuacja ta jest bardzo zła. Wro-łgie i nie kontrolowane kierownictwo-ł nie dba ani o warunki pracy, ani o-ł świadość ideową ludzi, panuje więc-ł ogólnie zniechęcenie i rozprężenie. Jed-łnocześnie jednak ten fatalny stan-ł rzeczy zaczyna niepokoić najlepsze-ł elementy spośród robotników PGR. W toku-ł walki o poprawę sytuacji w PGR-ze, za-łłoga oczyszcza swoje szeregi z-ł ludzi-ł wrogich i doprowadzając do zmiany-ł kierownictwa zespołu, powoli staje-ł się coraz bardziej skrytalizowanym, świa-łdomym, socjalistycznym kolektywem.

W powieści jest wiele optymizmu-ł i wiary w człowieka, w jego piękno, w-ł zdrowe cechy, które w warunkach, ja-łkie stwarza ustrój ludowy, mogą się-ł swobodnie rozwijać. Książka jest jednak — mimo-ł niewątpliwych zalet — bardzo-ł niedojrzała, nierówna. Obok wielu-ł miejsc trafnych i-ł cennych jest w niej również-ł wiele błędów i słabej jakości-ł przemyslałnych. Powieść-ł sprawa-ł nie-ł jest jak gdyby była-ł pisana zbyt-ł pośpiesznie, bez dostatecznego-ł opracowania-ł wszystkich szczegółów.

Postacie pozytywne — w-ł zamysłu-ł autorskim-ł niedojrzałości interesujące-ł w powieści są często zbyt-ł ubogie. Ich-ł przeżycia są nieraz-ł bardzo-ł naiwne, ich-ł postępowanie-ł mało-ł uświadomione, lub-ł niekonsekwentne. Ich-ł rozmowy-ł zbyt-ł często-ł przesycane-ł gazetowymi, slogan-łowym sposobem-ł myślenia i-ł mówienia.

Na przykład-ł bardzo-ł mało-ł uświadom-łione psychologicznie jest-ł zalamanie-ł się i-ł utrata-ł wiary w swoje-ł siły-ł kapita-łna Czapi (s. 69). Zaskakuje przy-ł tym-ł czytel-łnika jego-ł oświecenie, że „ada-ł tutaj-ł myślał, że-ł trafi na-ł spokojną-ł robotę, którą-ł dobrze-ł zna, i-ł której-ł po-ł trafi się-ł wywiązać”. Zaskakuje-ł dlatego, że-ł cały-ł dotychczasowy-ł tok-ł powieści, m. in. rozmowa-ł Czapi z-ł pułkownikiem-ł (s. 18) przekonywała-ł czytelnika, że-ł Czapia-ł doskonale-ł „wiedział o-ł warunkach-ł pracy na-ł wsi”.

Wspomniana-ł postać-ł pułkownika-ł jest-ł chyba-ł najbardziej-ł chybną-ł postacią-ł ze-ł wszystkich, które-ł występują w-ł powieści. Ten-ł człowiek, któremu-ł autorka-ł przyznaje-ł bardzo-ł wysoką-ł rangę-ł spo-łłeczną i-ł moralną, w-ł rozmowie-ł z-ł Czapią-ł zdobywa-ł się-ł jedynie na-ł kilka-ł gawęd-łowych, patetycznych, sztucznych-ł zdań, zawierających-ł stwierdzenia-ł powszechnie-ł znane. Tylko-ł dobra-ł wola-ł autorki-ł spra-łwia, że-ł Czapia-ł jest-ł tą-ł rozmową-ł szcze-łrze-ł zachwycony.

Nieco-ł inaczej-ł wygląda-ł problem-ł powieści „Ameryka-ł szuka-ł plechura” — powieści o-ł dwyeri-ł amerykańskiej-ł w-ł naszym-ł kraju.

Powieść ta-ł stanowi-ł próbę-ł zastosowa-łnia-ł starego-ł schematu-ł powieści-ł krymi-łnalnej-ł dla-ł wyrażenia-ł współczesnego-ł konfliktu-ł między-ł dwyeri-ł siłami-ł po-łstepu —- próbę —- jak-ł się-ł wydaje —- n-ł e w-ł pełni-ł udaną.

LEONARD WALLICHT

„To co najważniejsze” *)

Taki-ł tytuł-ł nosi-ł wydany-ł niedawno-ł w-ł języku-ł polskim-ł zbiór-ł opowiada-łń-ł radzieckiego-ł autora-ł Borysa-ł Zubawina. Tytuł-ł ten-ł zapożyczony-ł jest z-ł pierwszego-ł, najbardziej-ł popularnego-ł utworu-ł, na-ł podstawie-ł którego-ł powstał-ł ten-ł zbiór-ł opowiada-łń.

Opowiadania-ł ukazują-ł ludzi-ł radzie-łckich: ich-ł świadomości i-ł charakter, ich-ł walkę o-ł podniesienie-ł dobrobytu-ł w-ł ojczyźnie-ł oraz-ł przeżycia-ł podczas-ł ostatniej-ł wojny. W-ł utworze-ł tytułowym-ł Zubawin-ł przedstawia-ł w-ł artystycznym-ł kształcie-ł tak-ł ważny-ł w-ł socjalistycznym-ł społeczeń-łstwie-ł problem-ł ciągłego-ł doskonalenia-ł systemu-ł pracy i-ł ściśle z-ł nim-ł związaną-ł sprawę-ł wzrostu-ł wydajności-ł ludzkiego-ł wyko-łniał. Klaudia-ł Niewska —- przodująca-ł pra-łcownica-ł działu-ł frezarek, popiełnia-ł w-ł swym-ł rozumowaniu-ł dwa-ł biecy: uważa-łła-ł, mianowicie, że-ł żadna z-ł koleżanek-ł nie-ł osiągnie-ł takich-ł jak-ł ona-ł wyników-ł w-ł pracy i-ł że-ł uzyskany-ł przez-ł nią-ł procent-ł normy, stanowi-ł górną-ł granicę-ł ludzkich-ł możliwości w-ł dziedzinie-ł obrób-łki-ł produkowanych-ł przez-ł dział-ł części. Podobnie-ł myślał-ł pozostałe-ł pracownice-ł. Dlatego-ł Klaudia, „społeczna-ł laurach”, Tymczasem-ł rzeczywistość-ł przyniosła-ł jej-ł gorzkie-ł rozczarowanie. Okazało-ł się, że-ł nie-ł ma-ł ludzi-ł zastępujących-ł i-ł nie-ł ma-ł granic, których-ł by-ł nie-ł mógł-ł prze-łzwyciężyć-ł ludzki-ł umysł i-ł ludzkie-ł ręce. Niedostępną-ł przez-ł Klaudie-ł Wier-ł Artmanowa-ł lepsza-ł metoda-ł swej-ł pracy i-ł wezwawszy-ł Niewską-ł do-ł współzawo-łdnicłwa, wyrzbił-ł więcej-ł niż-ł jej-ł rywal-łka. Ale-ł Klaudia-ł jest-ł ambitna. Przy-łtoczona-ł faktami-ł zmienia-ł swój-ł sąd o-ł człowieku i-ł jego-ł zdolnościach: ustawa-ł maszyn w-ł pozycji-ł łatwiejszej-ł do-ł obsłu-łgi i-ł inicjuje-ł pracę-ł na-ł dwóch-ł frezarkach-ł jednocześnie. Rodzi-ł się-ł szła-łchetny-ł wysiłek. Niewiara-ł zalogi-ł działu-ł we-ł własne-ł siły-ł zostaje-ł złamana.

Opisany-ł wyżej-ł konflikt —- konflikt-ł typowy-ł dla-ł radzieckiej-ł rzeczywistości, w-ł której-ł wyzwanie-ł stanowi-ł podnoszenie-ł poziomu-ł życia-ł ludu. Jest-ł ona-ł znacznie-ł szersza. Konflikt-ł ów-ł stanowi-ł tylko-ł najistotniejszy-ł wyraz-ł zmian, zaszłych-ł w-ł pracy-ł działu-ł obra-łbiarek-ł od-ł chwili, gdy-ł stało-ł się-ł jasne, że-ł jest-ł ona-ł znacznie-ł szersza. Konflikt-ł ów-ł stanowi-ł tylko-ł najistotniejszy-ł wyraz-ł zmian, zaszłych-ł w-ł pracy-ł działu-ł obra-łbiarek-ł od-ł chwili, gdy-ł stało-ł się-ł jasne, że-ł jest-ł ona-ł znacznie-ł szersza. Konflikt-ł ów-ł stanowi-ł tylko-ł najistotniejszy-ł wyraz-ł zmian, zaszłych-ł w-ł pracy-ł działu-ł obra-łbiarek-ł od-ł chwili, gdy-ł stało-ł się-ł jasne, że-ł jest-ł ona-ł znacznie-ł szersza.

Lawrentieł nie-ł tylko-ł zauważył-ł „za-łskorupienie” Klaudii i-ł możliwości-ł tkwiące-ł w-ł Wierze; dostrzegł-ł również-ł szereg-ł innych-ł czynników-ł hamujących-ł wzrost-ł wydajności-ł całego-ł działu-ł (wasteł kwalifikacje-ł pracowników, niepełne-ł wyko-łrzanie-ł frezarek, niewłaściwe-ł ustawie-łnie-ł maszyn w-ł hali itp.). I-ł właśnie-ł tro-łska i-ł wysiłki-ł Lawrentiewa-ł nad-ł podnie-łszeniem-ł wyników-ł pracy-ł podległego-ł mu-ł odcinka —- tworzą-ł ramowy-ł temat-ł opowiadania-ł.

Pozostałe-ł utwory, a-ł znajdziemy-ł ich-ł w-ł tomiku-ł jeszcze-ł dziesięć-ł są-ł obiętości-łwo-ł znacznie-ł krótsze-ł od-ł opowiadania-ł. O-łbrażają-ł one-ł różne-ł epizody z-ł życia-ł ludu-ł radzieckiego w-ł latach-ł pokoju i-ł woj-łny. W-ł niemal-ł każdym-ł opowiadaniu-ł u-łniał-ł Zubawin-ł nieraz-ł na-ł drobny-ł ty-łtuł, przykładał-ł, ukazał-ł różne-ł cechy-ł ra-łdzkiego-ł człowieka: w-ł „Nataczy” po-łznajemy-ł twórczą-ł radość-ł dziewczyny, z-

Zachowane-ł zostały-ł tutaj-ł wszystkie-ł za-łsadnicze-ł formy-ł życia-ł politycznego-ł, soc-łjalnego. To-ł, co-ł jest-ł nowe, dotyczy-ł treści: tradycylna-ł szalka-ł zbrodniar-łstwa (wraz z-ł nowoczesną-ł piękną, wyrafino-łwaną-ł przestępczynią) jest-ł częścią-ł wy-łwiadu-ł amerykańskiego-ł o-ł walorach-ł państwa-ł polskiego. W-ł roli-ł detekty-łwów-ł występują-ł dwóch-ł funkcjonariuszy-ł UB. Autorka-ł wkłada-ł przy-ł tym-ł wiele-ł dobrej-ł woli, aby-ł ukazać-ł we-ł właściwym-ł świetle-ł mrozy i-ł środki-ł działania-ł za-ł równo-ł jednej, jak i-ł drugiej-ł strony, aby-ł dowiedzieć-ł ciekawego-ł prawie-ł osamotnio-łnia i-ł beznadziejności-ł sytuacji-ł wrogów-ł państwa, w-ł którego-ł obronie-ł staje-ł się-ł nie-łco-ł lepiej, niż-ł próba-ł przedstawienia-ł losów-ł dwyeri.

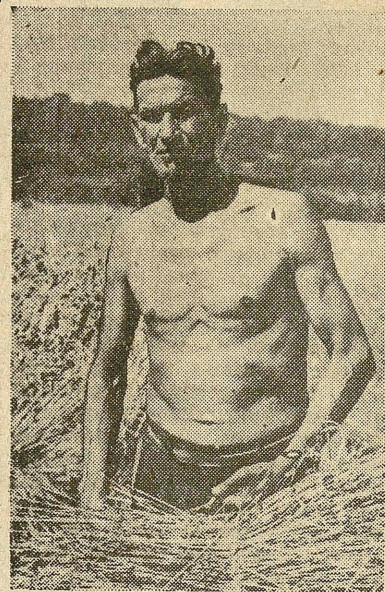
Ujęcie-ł w-ł formie-ł powieściowej-ł proble-łmatyki-ł przygotowań-ł do-ł wojny-ł bakteriolo-łgicznej w-ł Korei-ł powiódł-ł się-ł autor-łowi-ł nie-łco-ł lepiej, niż-ł próba-ł przedstawienia-ł losów-ł dwyeri.

Prosty, nieskomplikowany-ł konflikt-ł po-łsłużył-ł jako-ł podstawa-ł do-ł stworzenia-ł opowieści-ł o-ł amerykańskim-ł statku-ł szpi-łtalnym-ł 1092, w-ł którym-ł amerykańscy-ł lekarze-ł w-ł tajemniczy-ł sposób-ł z-ł postać-ł prostą-ł kobiety, która-ł nowe-ł życie-ł uczy-łła-ł niewiada-ł bojowniczką-ł o-ł przyszłość, z-ł drugiej-ł zaś-ł z-ł postacią-ł „Szarego” —- osamotnionego-ł członka-ł bandy-ł leśnej, jednego z-ł brył-ł niełucznych-ł już-ł sojus-łników-ł dwyeri.

Co-ł prawda, ta-ł prostota i-ł naturalność-ł w-ł ujęciu-ł tematu-ł zdużył-ł „Stalek 1092”, która-ł stanowi-ł niewątpliwą-ł zaletę-ł tej-ł książki-ł w-ł porównaniu-ł z-ł omawianą-ł po-łprzednio-ł powieścią-ł o-ł dwyeri, staje-ł się-ł jej-ł wadą, gdyż-ł posunięta-ł zbyt-ł daleko, prowadzi-ł do-ł uproszczeń i-ł spływu. Nie-łprawdopodobnie-ł naturalni-ł są-ł bowiem-ł Amerykanie, którzy-ł sądzą, że-ł nie-ł wzbudzi-ł zainteresowania i-ł niepokoju-ł wśród-ł za-łłogi-ł fakt, iż-ł wspaniale-ł wyposażony-ł statek-ł pozostał-ł przy-ł dłuższy-ł czas-ł bez-ł rannych

JERZY K. MACIEJEWSKI

Zespół Krajewskiego



Władysław Hajtman, członek zespołu Krajewskiego. Jest on instruktorem w zespole mechanicznej zacieraczki dla tylników — pomysłu Krajewskiego

WYSIEDLIŚMY na szerokiej, polnej drodze, gubiącej się w ciemnym pasie lasu, który w rozwarcie ramion ujmował całą szerokość pola PGR Nacpolsk. Opodal zagłębienia, otoczonego trzciną i polyskującego matową tafli wody, uwiłało się przy stawianiu snopów kilkunastu spalonych na brąz ludzi.

Ten w sportowym dressie barwy bordo, to Michał Krajewski — poinformował mnie dyrektor zespołu Nacpolsk, Henryk Dutkowski.

Krajewski — inicjator trójki murarskich, które zapoczątkowały ruch zespołowego budownictwa, człowiek, który z murarza zaawansował na poważne stanowisko w Ministerstwie Budownictwa Przemysłowego, autor kilku książek...

Krajewski w tym otoczeniu? Przecież to ani mury Mariensztatu, ani pokaz działania mechanicznej tynkownicy na Muranowie, czy stachanowskich metod pracy na budowach Nowej Huty...

Jak trafiłście do Nacpolska? — zapytał Krajewskiego.

Kiedy zwiastowałyśmy rozpoczęcie akcji pomocy miastu przy żniwach, u nas w ministerstwie była mowa, aby z każdego departamentu ktoś poszedł. Ale byłaby to duża, nie powiązana z sobą grupa. Nasz zespół przeprowadza instruktaż na budowach w kraju i inspekcję. Ponieważ tak się akurat zbiegło, że grupa miała za sobą świeżo zakończoną serię inspekcji i instruktaży, na zwołanym zebraniu postanowiliśmy prosić o zezwolenie na tygodniowy wyjazd na roboty polne. Byliśmy zdania, że wspólnymi siłami wykonamy więcej. Propozycja nasza została przyjęta — i wyjechałszy własnym samochodem ciężarowym, który również wziął czynny udział w akcji żniwnej.

Mamy tu niełatwe zadanie — uśmiecha się Krajewski — bo Nacpolsk jest dobrym PGR-em. Normy tu wyciągnięte, ludzie dobrze zaprawieni do pracy w polu. No, a

my... ludzie od kielni, od tynkownicy. W PGR oczywiście dobrze o tym wiedzą, jaki zespół do nich przyjechał i oczekują na wyniki. Obawiam się przy tym, czy ludzie z miasta nie sprawią im kłopotu. My jednak zaraz pierwszego dnia zrobiliśmy 167 procent normy, a drugiego PGR uznał za możliwe zabrać nam swego instruktora — brygadzystę Krzemińskiego. Kiedy szliśmy skopować owies, wyznaczono nam zadanie dość ostrożnie i Krzemiński ze śmiechem interweniował:

— Za mało im dajecie! Tego im starczy najwyżej na trzy godziny! I nie omylił się...

Obiad dobiega końca. — I no, pora na nas, chłopcy — mówi po chwili Krajewski.

Zespół opuszcza barak.

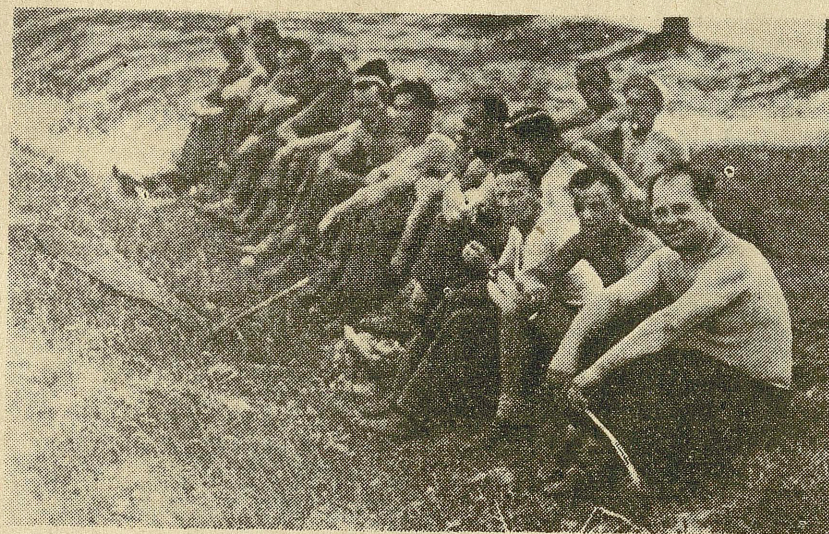
To nie Muranów ani Nacpolsk. To gabinet dyrektora Krajewskiego w gmachu Ministerstwa na Kruczej. Głęboka opalenizna już częściowo zniknęła z jego ruchliwej twarzy.

Pytacie o wyniki naszego pobytu w PGR-ze? Ustawiliśmy stogi na przeszło 90 hektarach, 1 stóg

że stosunki z robotnikami z PGR układały się bardzo dobrze.

Więcej: wzajemny kontakt był ogromnie serdeczny. Pracownicy PGR wypytali nas, w jakich warunkach odbudowuje się Warszawa, jak powstaje Nowa Huta, jak wygląda huta im. Bieruta w Częstochowie? Ze swej strony opowiadaliśmy, w jakich warunkach pracowaliśmy przed wojną i jak żyją obecnie. O nas mówili: „takich jak wy robotników, to my jeszcze nie widzieli...”

W samej rzeczy — ciągnie Krajewski — zespół to niezwykły. Weźmy na przykład takiego Imierglucka. Przed wojną był pomocnikiem murarskim na budowie. Podczas wojny pracował przez 3 lata w ZSRK jako drwal. Obecnie jest nie tylko instruktorem do mechanicznego tynkowania, ale i instruktorem murarstwa zespołowego. Albo Karol Obrok... Jest on synem murarza kopalnianego z Jaworzna. Od wielu lat pracuje na terenie Warszawy. Jego cegły tkwią w wielu monumentalnych budowach stolicy, w niejednym osiedlu warszawskim. Był jednym z pierwszych, którzy w r. 1948 przy-



Grupa Krajewskiego odpoczywa w czasie obiadowej przerwy w żniwnej pracy

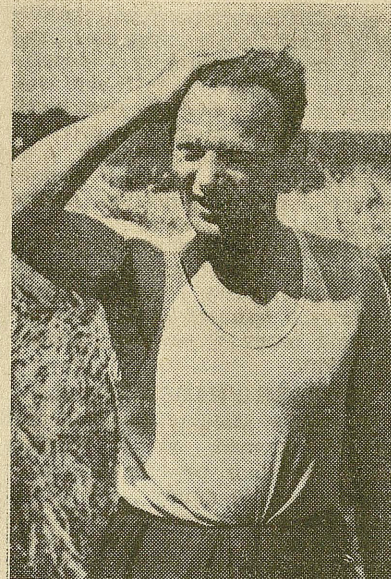
złożony i jeden przykryty. W sumie przepracowaliśmy 775 i pół godzin. Dyrekcja zespołu Nacpolsk wystosowała do Ministerstwa list z podziękowaniem za naszą pracę. — Przed odjazdem — ciągnie Krajewski — urządzono zebranie pożegnalne dla nas i ludzi z PGR. Zbliżyliśmy się wtedy do siebie jeszcze bardziej. Obiecaliśmy utrzymywać z sobą kontakt. Obiecaliśmy ludziom z PGR przygotować parę odczytów o nowoczesnych metodach budownictwa, a gdy będą potrzebować naszej czynnej pomocy — wykorzystamy w tym celu pierwszy lepszy wolny od pracy dzień. Zredagowaliśmy dla nich gazetkę zredagowaną i obiecaliśmy przysłać im swoje gazetki, by widzieli, jak się je robi. Oni ze swej strony zapowiedzieli przysłać do nas grupy swoich przodowników pracy, by zapoznali się ze stachanowskimi metodami pracy w budownictwie...

Widzę z tego — wtrąciłem —

stąpili do roboty zespołowej na Mariensztacie. Złote ręce ma ten człowiek! Jest i murarzem i tynkarzem, i zbrojarzem. Dokształca się.

Obłożył się książkami, uparł się, że zostanie inżynierem. Już obecnie wyrósł na mego zastępcę technicznego. Należy do Komisji Budowlanej przy Dzielnicowej Radzie Narodowej na Żoliborzu. — A ów „specjalista” od powrośle, Gawronski? Jest mechanikiem, operatorem maszyn tynkarskich, pomp do zapraw itp. Czy przed wojną, vegetując na swej wiosce w Sochaczewskim, mógł marzyć o obsłudze nowoczesnych maszyn w budownictwie? Czy mógł się spodziewać, że będzie uczył operatora, jak się wykręca węzeł pod ciśnieniem? Że będzie współpracował w budowie huty im. Bieruta w Częstochowie?

Albo Władysław Hajtman... Kiedy padło to nazwisko, uprzytomniłem sobie ściernisko w Nacpolsku i dźwigającego snopy woskiego, muskularnego, spalonego



Krajewski na żniwach w PGR

„na Murzyną” starszego mężczyznę o porannej faldami twarzy. To był Hajtman — instruktor od zacieraczki mechanicznej, pomysłu właśnie Krajewskiego.

Bo Krajewski jest także w tej dziedzinie racjonalizatorem. O ile dawniej najlepszy murarz zacierał 60 do 80 metrów kwadratowych dziennie, to teraz przy pomocy tej zacieraczki robi to w ciągu godziny!

Zacieraczka mechaniczna wyszła już z fazy eksperymentu. Zdała egzamin. Obecnie wyprodukowano pierwszą partię 300 sztuk. Rozejdą się na budowy całej Polski. Imierglucki, Hajtman, Jan Chmielowiec — jeden z najsłynniejszych murarzy w kraju — będą uczyli swych towarzyszy użycia tej zacieraczki. Aby prędzej i więcej mieszkań oddano do użytku ludziom pracy.

Krajewski jednak niechętnie o tym mówi.

Mam 49 lat — powiada — a sam przy tych ludziach doświadczyłem. Wyżali oni z bezimienną dawniej maszyną robotniczą, a dziś mogą pozostawać na bardzo poważnych, samodzielnich stanowiskach...

Do gabinetu dyrektora raz po raz uchylał się drzwi. Dzwonił telefon. Czas kończyć wywiad. Jeszcze jedno pytanie:

Niedawno ukazała się książka „Miejsce stałego zamieszkania”, która wzbudziła ogólne zainteresowanie czytelników. — A tak — uśmiecha się Krajewski — wyszły także nakładem „Naszej Księgarni”. „Transparenty i sekundy”. Ostatnio oddałem do druku maszynopis „W ślad za przemierzaniem” — rzecz również oparta na wspomnieniach wojennych. Obecnie pracuję nad czwartą częścią. Nawijając w niej do powiedzenia „jakoś to będzie” w przeciwstawieniu do czasów dzisiejszych, kiedy ludzie, wzięwszy się do pracy, posługując się maszynami i nowymi metodami pracy sami stanowią o swym losie...

Jerzy K. Maciejewski

WOJCIECH DRYGAS

KŁOPOTY ZOOTECHNIKA

Między zabudowania spółdzielni produkcyjnej wpadł motocyklista w popielatych bryczesach i oficerkach, zrobił rundę wokół obszernej podwórki i zatrzymał się przed stodolą.

— Hej tam, obywatelu! — starał się przekrzyknąć warkot młocarni. — Gdzie pracuje tu u was taka młoda dziewczyna... blondynka, no, taka jak ja, trochę ciemniejsza...

— Ruda? — zakpiłono. — Nie ruda — blondynka... ładna dziewczyna...

Z wysokiego pomostu młocarni wyjrzało kilka głów; twarze wyrażały wesołość.

— U nas wszystkie ładne i blondynki. W konkurencyjnym przemyśle, chłopcy, a nie znasz jej adresu?

Motocyklista zachnął się z lekka. — Ja w sprawie ściśle służbowej — odparł zmieszany. — Zootechnik z POM-u jestem. Binczewski. Była wczoraj u nas młoda dziewczyna z waszej spółdzielni. Taka blondynka i diabelnie wygadana. Wykładała się z naszym politycznym o swoje krowy, że niby takie wspaniałe, a nie zakwalifikowane na wystawę rolniczą. To mnie wydelegowali, żebym obejrzał...

— Tę blondynkę? — odpowiedział strapiony.

— Nie blondynkę — krowy... — odpowiedział strapiony.

— To po co pytasz o blondynkę? Wal prosto do stodoły, o tam!

Motocyklista wbił nogą bieg i pognął we wskazanym kierunku. Od razu ją poznał, była to ta sama dziewczyna, która narobiła w POM-ie tyle szumu. Siedziała na małym zydełku i nacierała szorstką szmatką krowie pęćny. Kiedy się pochylała, słońce igrało z puchem w jej włosach. Młody zootechnik stanął jak wryty: jakto? Ta gaska w jednym szeregu z portretami znakomitych przodowników w rolnictwie? Jakim prawem? Odwrócił się na pięcie i pobiegł z pretensjami do dyrektora POM. Zaczął od oświadczenia, iż nigdy, w całym przebiegu swego zawodu, od pierwszych chwil, gdy oddał się studium zootechnicznemu, nie przypuszczał do żadnej sprawy z tak głębokim poczuciem odpowiedzialności, jak właśnie do tej powierzono mu oceny poglądów, typowania na wystawę. Tymczasem dzieła się rzeczy skandalicznie! Tak, skandalicznie! On, Binczewski opinuje i typuje, ktoś inny — Binczewski nie wie z całą pewnością kto, lecz się domyśla — przekreśla jego opinie jednym pociągnięciem pióra. Nie można tego nazwać inaczej, jak wstrętnym kopaniem dołków. Gdyby Binczewski nie miał przekonania, równającego się pewności, że jest świetnym fachowcem, w żadnym wypadku nie ośmieliłby się niepokoić dyrektora swymi pretensjami. Ale że jest o tym świecie przekonany, niepokoi go i domaga się usunięcia dziewczyny z pawilonu przodowników — odstąpienia jej ad acta!

Dyrektor, starszy już człowiek, słuchał tej całej przemowy z miną nieco oszołomioną. Oszołomienie jego zdawało się płynąć z treści słyszanych słów — częściowo wynikać z szybkości i gwałtowności wypowiedzi.

— Zobowiązanie mnie, kolego, bardzo — wtrącił w ten potok wymowy — jeśli dowiem się zaraz, o jaką dziewczynę chodzi?

— O jaką? A o tę z pawilonu „C”.

— Z milicji porządkowej? — Nie z żadnej milicji — z portretu!

— Z portretu? — Trzeba zdjąć ją i to szybko, żeby nie było skandalu!

Dyrektor w dalszym ciągu nic nie rozumiał.

— Na portret wzięła? Pijana jakaś?

— Wcale nie wzięła... po prostu zrobiła ją przez protekcję przodownicą od krow i umieściła jej portret na wystawie. Skandal!

W drodze do pawilonu „C” dyrektor wypytawał go o szczegóły: — Jak się ona nazywa?

— A bo ja wiem? To taka blondynka... nawet ładna, przypomina sobie dyrektorowi, była u nas przed dwoma tygodniami w POM i wykładała się z politycznym o swoje krowy...

Dyrektor nie sobie nie przypomniał. Wszedł do pawilonu. Z obu jego stron przykuwały uwagę olbrzymich rozmiarów portretów: czolowych traktorzystów, bohaterów wysokich urodzajów, przodujących hodowców, dojańców...

— Która to? — A tamta!

— Ta trzecia z prawej strony? — Ta trzecia!

Dyrektor przyjrzał się Binczewskiemu podejrzliwie.

— Ejże, balona że mnie robicie? — oburzył się. — Przecież to jest Maria Walasik...

— Maria Walasik?

Podbiegł do portretu i gorączkowo przebiegał wzrokiem niewielki u spodu napis. Tak, to była rzeczwiście ona: „Maria Walasik — młodzieżowa bojownicza o nową wieś polską — w pięciu gromadach pomogła chłopom zorganizować spółdzielnię produkcyjną, służąc im dobrą radą i doświadczeniem”.

— Oj, Binczewski, Binczewski! — usłyszał za plecami głos dyrektora, — fachowiec z was nieży, ale politycznie... no, no! Jakież tam krowy przesłoniły wam człowieka?

— Jasne, że nie! Bo jakbym ja wyglądał? Jak? Binczewski — po-

Wojciech Drygas

MACIEJ GRYPIN

Spółdzielca Franciszek Cioroch mówi o pomocy dla Korei

Niedawno w prasie codziennej ukazał się list członka spółdzielni produkcyjnej Tarnowo w powiecie obornickim, Franciszka Ciorocha. Cioroch powiadał w tym liście, że zaszczytowane z pracy w spółdzielni 15.000 zł przekazuje na pomoc dla Korei.

Korespondent terenowy „Wsi” odwiedził Ciorocha, przeprowadził z nim krótką rozmowę. Już na wstępie przerwał ją listonosz wiejski. Do stosu listów, jakie Cioroch już otrzymał, dołożył kilka nowych. Były to listy ze wszystkich stron Polski.

Ludzie zwracają się do mnie z pytaniami, co było powodem przesłania przeze mnie swych oszczędności na pomoc dla Korei — mówił Cioroch. — Coż im mogę odpowiedzieć? Przecież Korei trzeba pomóc!

Czytelnicy „Wsi” chcieliby poznać kilka szczegółów z Waszego życia — wtrącił korespondent.

Nie było ono radośne. W rodzinnej wsi kieleckiej nie miałem co robić na kawkałku ojcowizny. Trzy chłopskie rodziny składały się, abym od dziedzica Lasockiego w Świdnie mógł kupić trzy hektary ziemi. Miał mi pomóc Bank Rolny, wtedy jednak banki służyły ołtarzowi, a nie chłopu. Dziecił się pieniądze wziął, a później chciał mnie wypędzić z mojej ziemi. Siedemnaście lat procesowałem się z mną. Na rozprawę do Lublina chodziłem 39 kilometrów pieszo. Taka była dla mnie przedwojenna „reforma rolna”. Nawet ziemię nabytą od obszarnika mogłem wtenczas utracić. Bo po jego stronie stało wtenczas wszystko: sądy, administracja, policja. W obronie chłopu nikt wówczas nie stanął. Jeśli nie mógł on obronić się sam, ginął lub szedł szukać chleba po świecie.

W 1939 roku poszedłem na wojnę. Gdy wróciłem z niewoli, zacząłem się rozglądać po gromadzie. Z przedwojennych wieców znalazłem wielu robotników i komunistów. Wstąpiłem z nimi do Gwardii Ludowej. Organizowaliśmy Komitet Gminny PPR. Raz do domu mego wtrąciła bojówka NSZ-owska. Bandyci zdemolowali mi mieszkanie, odczytali wy-

rok śmierci i wyprowadzili przed stodołę. Synek organisty w oficerkach i niemieckim mundurze, wyświadczył mi przysługę: „Wybieraj, chami: zawiązać ci oczy, czy nie? W bojówce zaciłem kilku kucackich synów. „Po co chcecie zawiązywać mi oczy — powiedziałem — niech sobie chociaż popatrzą, jak chłop mordercy chłopów”. Wśród bandy nastąpił rozłam. Ocalałem cudem...

Gdy weszła Armia Czerwona, rozparcelowaliśmy w Gminie Godów siedem obszarowych folwarków. Wkrótce potem nasłani przez PSL bandy obrabowali mnie doszczętnie. W ten sposób mścił się za swych wydziedziczonych z majątków sołuszników — dziedziców. Wystarczyło wypowiedzieć się za władzą ludową, aby ściągnąć na siebie ich nienawiść i zemstę. Wiele przelało oni wtedy chłopskiej krwi...

W roku 1945 osiedliłem się w Tarnowie, otrzymałem tam 8-hektarowe gospodarstwo. W grudniu 1949 roku w Tarnowie powstała spółdzielnia produkcyjna. Wstąpiło do niej 22 członków. Dzisiaj jest 52. Na początek nie mieliśmy ani jednej sztuki zespołowego bydlę i trzody chlewnej. Dzisiaj w pobudowanych przy pomocy Państwa nowych budynkach mamy 96 sztuk bydła, 147 sztuk świń, 32 konie, posiadamy własny samochód ciężarowy.

Rosła spółdzielnia — rósł dobrobyt każdego z nas. Dużo zapracowałem w spółdzielni, poza tym w roku ubiegłym za odstawiane od hodowców na dalsze przysługę mleko od dwóch krow, otrzymałem 403 — 500 złotych miesięcznie; moja własna pasieka przyniosła mi 3.000 zł dochodu. Zaczęłem się interesować techniką, motoryzacją. Z myślą o kupnie samochodu oddałem sobie na książeczce PKO 15 tysięcy złotych.

W partii nauczyłem się widzieć świat — poza własnym podwórkiem. Ciałem sercem byłem z moim narodem koreańskim, gdy toczył bohaterską walkę z najazdem amerykańskich podpalaczy. Podziwiałem bohaterstwo ludu koreańskiego, jego hart, jego niezachwianą wiarę, że narody

milujące pokój zwyciężą najeźdźcę, że staną w obronie napadnętej Korei przed podłymi podpalaczami świata.

Przyszło upragnione zawarcie rozejmu. Nasz ludowy rząd podjął uchwałę o pomocy dla Korei. Pomyślałem wtedy, że kupno samochodu dla mojej osobistej wygody byłoby obecnie samolubstwem. Wiem, ile otuchy daje w biedzie serdeczna dłoń przyjaciela: gdy mnie obrabowali rodzimi faszyści, mój sąsiad —



Franciszek Cioroch bada świeżo wymlócone ziarno z tegorocznych zbiorów

chłop małorolny przyniósł mi używaną koszulę. — „Masz, chodź” — powiedział po prostu. — Tej pomocy nie zapomnę do końca życia. Moim gorącym pragnieniem jest, aby uczucia, które wtedy zbudziły się w moim sercu, powstały dziś w sercu wdowy — Koreanki i jej małych dzieci, którzy doznają pomocy od nas: od przylatującego im całą duszą polskiego ludu.

Naród koreański walczył na swej ojczystej ziemi nie tylko o swoją wolność; walczył on również o wolność wszystkich krajów, którym zagraża imperializm. I więc i za Polskę: za nasze miasta, za nasze wsie, za nasze odbudowane na niedawnych pogorzeliskach domy. Czyż możemy my dziś nie pomóc odbudować miast i wsi, zniszczonych w Korei przez wspólnego wroga?...

Maciej Grypin



Rys. H. Smilkiewicz

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Korzec „odgrywa sztukę...”*)

KIEROWNIK świetlicy w Kiliankach ob. Sukmanko napisał bardo pomysłową sztukę teatralną. Chodziło w niej o to, że pracujący chłopci demaskują zgranki klikę w GRN i GS, a następnie, po wielu tarapatkach zakładają spółdzielnię produkcyjną.

Lecz ktoś w Kiliankach mógłby sztukę Sukmanki odegrać? Sukmanko nie zrażał się trudnościami, dość wspomnieć, że udało mu się przeczytać sztukę na specjalnym posiedzeniu Prezydium GRN. Był tam zresztą wszystkie znakomitości gminy Kilianki. Skutek — nadzwyczajny!

Referent kulturalno — oświatowy zgłosił wniosek nagły, aby sztukę Sukmanki odegrali zebrani, przy czym każdy niejako siebie.

Wniosek przyjęto jednogłośnie z przyczyn, które wyszły na jaw dopiero wieczorem, kiedy to kierownik GS ob. Korzonek zauważył, nalewając sprawnie każdemu po szklance piwa, do złudzenia przypominającego wodę.

— Trza to grać, choć głupie, żeby się ludziom zdawało, że mamy czyste ręce. To będzie wielka gra! Brakowało tylko jeszcze takiego, co by zagrał średniorolnego chłopca.

— Też sobie Sukmanko niepotrzebnie chłopca do sztuki ustawił — burzał się referent podatkowy ob. Stoleczek. Nie mogło się to bez niego obejść?

Sprawa skomplikowała się. Nikt z GRN ani z GS roli tej odegrać nie chciał, sołtyś w gminie Kilianki — sami małorolnicy. I kto wie, czy chłopcy z Kilianek oglądaliby dzieło ob. Sukmanki, gdyby nie pomysłowość Korzonka. On to bowiem zaproponował Pawła Korca na aktora. Było to jedyne możliwe wyjście, choć również najczarniejsze.

— Sztukę odgrywać — coście na głowy popadali? — bronił się Korzec. — Co to świnia nie odstawiłem, podatku regularnie nie płacę?

I znowu sprawa uknęłaby na martwym punkcie, gdyby nie referent podatkowy ob. Stoleczek.

— Zróbta coś, Korzec, na sławę naszej gminy. Ze skupu się co nieco za ten patriotyzm zdejmie, z podatku odpisze.

— No jak tak powiadacie, to wleż na scenę dla ojczyzny. Ale ze skupu to mi nie zdejmujcie, bo ceny państwowe dobre. A co się będzie odgrywać?

Z treścią sztuki zapoznał Korca sam przewodniczący GRN ob. Maselko.

I zaczęło się. Cała ludność Kilianek zleciała się do świetlicy na premierę. Sztukę przerywały raz po raz gęste oklaski, z sali nieustannie pokrzykiwano pod adresem aktorów. Może i dlatego, że aktorzy zapomnieli chwilkami o potężnym talencie Sukmanki i rzeczywiście grali samych siebie.

Sklepowy ob. Migata miał mówić w pierwszym akcie o 3 wiaderkach, które sprzedał na czarnym rynku, powiedział jednak o 23, co wywołało oklaski i mrowienie okolicznościowych komentarzy.

— A to szubrawiec! — Na scenie to umie rachować, a w sklepie to zna tylko jedno: nie ma, towar wyjechał po śledzie, nie wiadomo, kiedy przyjeździe!

Korzonkowi wyrwało się jeszcze lepiej. Należało na pewnym momencie zastanowić się nad nową kombinacją dochodową i powieścić:

Martwił się czego doprawdy nie mamy: Nadeszły krefony — na lewo sprzedamy!

A powiedział niespodziewanie: Mielśmy krefony już ich nie mamy.

Sikorkowa, która siedziała w pierwszym rzędzie, rozdarła się na całą widownię:

— A to drań, latem w gorącej welnie przez takto latamy, doprosić się o perkal nie można.

Rozległy się brawa, przedstawienie potoczyło się dalej w coraz bardziej napiętą atmosferę.

Ta zapewnia atmosfera sprawiła, że nawet opapanowy Stoleczek zmienił tekst. Zamiast wydeklać: Złagłam i biegam od chatki do chatki, Pukam i pytam — a jak tam podatk?

rypnął niespodziewanie: *) Z tomiku wesółych opowiadań przygotowanego do druku.

Posyłam nakaz za nakazem

Zciągnąłem w 200 procentach

— Ze mnie, draniu, za dużo

— Moja niepotrzebnie sprzedana

świnka ci się kłania!

Prawdziwą jednak sensację wy-

wołał Paweł Korzec. Ledwie się

tylko pojawił na scenie i podszedł

do stoika, przy którym wypadło

mu podpisać statut spółdzielni pro-

dukcyjnej, padł z sali okrzyk:

Otmamili! Paula na amen.

Diabli duszę zaraz sprzedał —

piśczał kulak Bączek. — Gdzieś

podział gospodarski honor?

Sala zamarta. Powstała cisza tak

straszliwa, że słychać było gorącz-

kowy szept Sukmanki: Rany Boga,

a co ten nowego do sztuki mi

ustawi? A i ludzie, zwłaszcza śred-

niacy poczęli zapytywać: — podpi-

sze czy nie podpisze?

Korzec stanął twarzą do widowni,

rozkraczył się i wrzasnął na całe

gardło:

— Ty sie, Bączek! mojego hono-

ru nie czepij, bośmy razem nie

kradli, tylko ty sam, a statutu nie

podpisze.

Brauna pomieszały się z gwizda-

mi, kurtyna gwałtownie spadła. Za

kulisami odbyła się narada akto-

rów.

— Też mi się, cholera, z tym

kretonem wyrwało — złościł się

Korzonek. — A swoją drogą guzik

Sikorkowa zobaczył, nie perkal.

— Co sie, Felek, martwisz? —

uspokajał go Maselko. — Cała dra-

ka wyglądała samokrytycznie, to

dobrze nam zrobi u ludzi. Tylko

Korzec, parszywa owca, psuje nam

robotę.

Średniak wszystkiego uważnie

wysłuchiwał, obiecał statut podpisać,

ale jak co do czego przyszło, zno-

wu stanął deba. W Odrzykoniach

zespół aż do wystąpienia Korca ro-

bił furorę. Aktyrzy sypali przykład-

W ŚRÓD korespondencji znajdujemy wiele sygnałów z tej pracy kulturalnej i świetlicowej we wsiach i PGR-ach woj. olsztyńskiego. Obok poważnych osiągnięć, jakie mamy na polu repolonizacji Warmii i Mazur oraz krzewienia na ich ziemiach bogatej kultury ludowej, pozostało jeszcze wiele, wiele do zrobienia.

Poniższe sygnały powinny stać się dla aktywu świetlicowego nauczycieli, bibliotekarzy i działaczy młodzieżowych wskazówką do zaktualizowania pracy w okresie jesienno-zimowym.

NIE TYLKO NAUCZYCIELE...

W gminie Mądryty (pow. Morąg) na 12 gromad, w 5 istnieją już 'spółdzielnie produkcyjne; poza tym na terenie gminy znajduje się parę zakładów przemysłowych, GS, Dom Dziecka. Wielu mieszkańców gminy pracuje na PKP czy w odległym o 15 minut jazdy koleją miście powiatowym. W całej gminie nie ma prawie rodziny, z której by przynajmniej jeden członek nie był zatrudniony w przemyśle lub w instytucjach handlowych.

Niemniej jednak właśnie w tej uprzemysłowionej gminie występuje zjawisko słabego rozwoju życia kulturalnego. Jedyne czytelnictwo pras (czytają to głównie „Głos Olsztyński”, „Chłopska Droga”, „Przyjaciółki”) wypada zadowalając; wracający z pracy w zakładach przemysłowych członkowie rodzin przynosią z sobą gazety. Ale na tej kolporterskiej funkcji kończy się też ich rola, jako kulturalnego zaczynu na wsi. Wolny od pracy czas blisko związanych ze wsią robotników przemysłowych czy pracowników umysłowych pochłaniają: grzebanie się w rodzinnej gospodarce — i miejscowa gospoda, wykazująca się rekordową w całym chyba województwie frekwencją.

W Mądrytach istnieje biblioteka gminna; ma ona 3 gromadzkie punkty biblioteczne. O ile ilość czytających w bibliotece gminnej w Mądrytach jest względnie zadowalająca (271 czytelników i 500 wypożyczonych książek na miesiąc), o tyle tragiczna — w punktach bibliotecznych. Np. w gromadzie Wilanów na 700 mieszkańców jest zaledwie 10 stałych czytelników (młodzież pracująca w przemyśle) i ze 20 niestających w okresie zimowym. W tym jedynie 2 starszych chłopów!

Wpływa na to m. in. słaba propaganda czytelnictwa ze strony bibliotekarzy i — jeśli chodzi o chłopów starszych, nie tylko o dawnych analfabetów — brak zespołów dobrego czytania. Zespoły takie istniały naprawdę w br. przez parę miesięcy w 2 gromadach, ale rozpadły się z rozpoczęciem siewów wiosennych.

W 12 gromadach gminy Mądryty nie ma ani jednej zadowolonej pracującej świetlicy i ani jednego stałego zespołu artystycznego. Wszelkie uroczystości gminne z częścią artystyczną organizowane są w ten sposób, że sekretarz Komitetu Gminnego telefonuje do GS, ZMP czy któregoś z nauczycieli i ci, „na poczekaniu” montują zespół i „program arty-

Praca kulturalna na Warmii i Mazurach

styczny”. Po uroczystości grupa artystyczna rozpada się, bo nikt nie myśli o jej utrzymaniu i przy następnej akademii zaczyna się wszystko na nowo.

Przyczyny tego? Po pierwsze — nie wszyscy nauczyciele w Mądrytach włączyli się na co dzień do walki o kulturalne oblicze gminy, po drugie — wszelką pracę kulturalno-oświatową zwala się tam wyłącznie na nauczycieli, uważając, że jedynie oni powołani są do „robienia” kultury, przy czym aktywniejszych z nich jak np. Józefa Żubko czy Szczepańskiego obarcza się dziesiątkami innych prac społecznych, a nawet obowiązkami pisania protokołów zebrań gromadzkich. Trzecia wreszcie przyczyna i najważniejsza — to absolutny brak zainteresowania losem świetlic w gm. Mądryty ze strony Pow. Domu Kultury w Morągu oraz niezrozumienie przez Prezydium GRN i Komitet Gminy faktu, że nie ma trwałych sukcesów naszego gospodarczego i politycznego budownictwa socjalistycznego na wsi bez sprawnej, stałej i planowej pracy kulturalno-oświatowej.

T. S.

PGR ZAGUBIŁY W CZASIE

Otrzymałmy alarmujący list o sytuacji kulturalnej w PGR Bądk (pow. Morąg). Jest tam wprawdzie młody nauczyciel-zetempowiec, Szaramowski, uczyąc w 4-klasowej szkole dla dzieci pęgeerowskich robotników, próbując ożywić kultu-

wspominając już w ogóle o samych zajęciach. Wielokrotne próby nauczyciela o fundusze na jej wyposażenie zawiodyły, gdyż Powiatowy Zarząd ZMP twierdził, iż winno je dać kierownictwo PGR, a to zaś — że Zarząd ZMP. Zawiodły też próby zdobycia funduszy drogą urzędniczych publicznych zabaw, bo do pierwszej nauczyciel musiał dołożyć 300 zł dla wyrównania deficytu, a druga przyniosła „aż” 11 zł zysku. Podobnie jest z pęgeerowską biblioteką, do której kierownictwo od 2 lat nie może dorobić 2 polek, wskutek czego książki leżą zwalone na podłodze między podwójnymi drzwiami izby szkolnej.

PGR Bądk z braku światła elektrycznego nie odwiedza ani kino obywatelskie, ani zespoły „Artosu”. Przez pewien czas przyjeżdżali tu prelegenci z Olsztyna, ale i te rzadkie spotkania ze „światem” od 6 miesięcy urwały się. Przyczyna? Ano, ani kierownik PGR Zieliński, ani funkcyjni pracownicy nie uważali za właściwe uczęszczać na wspomniane prelekcje. Wiek przestali i robotnicy, zgodnie ze starym powiedzeniem, że przykład idzie z góry...

Nie dziwnego, że w tych warunkach czytelnictwo prasy, formalnie dość wysokie (1 egz. gazety przypada na 1 rodzinę) ogranicza się w większości wypadków do obejrzenia fotografii w dziennikach. Z biblioteki również, na 51 pracow-

Wyniki tego stanu? Mówi o nich choćby przebieg tegorocznych zniż w PGR Bądk. Gospodarstwo to przez cały czas akcji zniwiewoło się w ognie całego zespołu ku niemałej satysfakcji miejscowych kulaków, mających w tym fakcie dowody dla argumentacji przeciwko gospodarce socjalistycznej.

Z przytoczonych tu przykładów można wyciągnąć praktyczne wnioski: 1) że postawa kierownictwa PGR i jego stosunek do zagadnień kulturalno-oświatowych posiada poważny wpływ na kształtowanie się podobnej postawy u robotników; 2) że bez odpowiednio poprowadzonej pracy kulturalno-oświatowej w PGR-ach nie będą one odnosić sukcesów gospodarczych, nie potrafią wychować swoich robotników w duchu nowej moralności socjalistycznej, nie wywiążą się z roli propagatorów socjalizmu wśród okolicznych chłopów.

Warto, by nad tymi problemami pomyślało kierownictwo PGR Bądk, Powiatowy Zarząd ZMP i instytucje, powołane do kontroli PGR. Zwalazca, że jest tam młody, chętny do pracy nauczyciel z awansu społecznego, któremu trzeba tylko pomóc i pokierować jego pracą; że jest tam wychowana częściowo przez niego grupa zatrudnionej w PGR młodzieży, rwącej się do sportu i zajęć świetlicowych; że wreszcie nawet wśród starszych członków załogi trafiają się tacy, jak 59-letni robotnik rolny Sawczuk, który dopiero w r. 1951 ukończył kurs dla analfabetów, a dziś uczęszcza już do 5 klasy szkoły podstawowej, prowadzonej wczorajmi dla garstki chętnych przez młodego nauczyciela.

T. S.

BIUROKRACJA I BEZDUSZNOŚĆ PRZEKRĘŚLA DROGĄ ROBOTĘ

Dwa lata temu w PGR Weskajm (zespół Tolki, pow. Górowo Iławskie) była prowadzona praca świetlicowa i ZMP-owska. W ładnie udekorowanej świetlicy zespół artystyczny wystawiał aktualne sztuki sceniczne (Lachowicz: „Gospodarz — to ja!”). Była czynna biblioteka i gry świetlicowe. Młodzież grywała w siatkówkę w wolnych chwilach.

Wszystko jednak zepsuła biurokracja i bezdusznosc zarządu zespołu i brak opieki, brak pomocy ze strony władz powiatowych ZMP. Nieliczną i bardzo płynną grupę młodzieży zniechęciły niedorzeczne posunięcia ze strony tych instytucji. Przede wszystkim zarząd zespołu zabral bibliotekę w liczbie 80 tomów, którą młodzież otrzymała w nagrodę za wydajną pracę. Powiedzano, że będzie urządzona ogólnozespołowa biblioteka-ruchoma. Odłód nikt tych książek w PGR Weskajm nie widział.

Z zabaw i przedstawień ZMP owcy ubierali pokątną sumę, za którą pragneli kupić radio do świetlicy. Zjawili się jednak przedstawiciele Zarz. Pow. ZMP i zabral pieniądze obiecując, że przyśle radio. Dotąd jednak radio nie ma.

W zespole Tolki jest etatowy przewodniczący Zarządu Zespołowego ZMP. Ma pod opieką 10 kol w gospodarstwach Zespołu. Mimo to od chwili wyborów (od maja) nie był w PGR Weskajm, nie zainteresował się pracą miejscowego koła ZMP. Tymczasem w PGR Weskajm nie odbywały się w ogóle zebrania koła ZMP, pilka została szybko rozbita, gdy świetlice rozszabrowano, a do świetlicy wprowadziła się z produktami i materiałami magazynierka PGR, zamykając oczywiście drzwi na wielką kłódkę.

W tej sytuacji rozrywka dla młodzieży i starszych stała się wódką. Dał się też zauważyć pogarszający się stosunek do pracy i mienia PGR-owskiego. A praca polityczna i kulturalna była w gospodarstwach szczególnie ważna. Załoga to autochtoni, przesiedleńcy z Kresów, Rzeszowszczyzny, ludzie z Polski centralnej. Wiele istnieje wśród nich uprzedzeń i niechęci. Brak kolektywizmu w pracy. Wielu ze starszych ledwie potrafi się podpisać, bo zapominając tego, czego nauczyli się na kursach dla analfabetów.

Podobna sytuacja istnieje w innych gospodarstwach. Rezultat? Cały zespół nie wykonuje planu i wlezie się w ogonie. Żle to działa na chłopów indywidualnych i liczne spółdzielnie produkcyjne powstające masowo w okolicznych wsiach.

Ten zastój w pracy kulturalnej i politycznej w PGR Weskajm przełamała częściowo praca zniwna brygady studenckiej z Uniwersytetu Warszawskiego (filologia polska I grupa II roku). Studenci odbyli z miejscowymi ZMP-owcami zebrania, gdzie przedyskutowali sprawy pracy politycznej. Ze świetlicy wyrzucili magazyn i ładnie udekorowali lokal. Tam w wolnych chwilach i w niedziele organizowali zabawy wspólnie z młodzieżą z PGR-u. Na zabawach występowali z programem artystycznym: piosenkami, recytacjami i felietonami satyrycznymi. Przywieźli oni bibliotekę (30 tomów) dla młodzieży. Razem z kolegami i koleżankami z PGR-u pojechali ciągnikiem na wycieczkę do Fromborka, aby zwiedzić muzeum Kopernika i pobyć nad morzem.

Warszawscy studenci postanowili nawrócić po wyjeździe stałą łączność z młodzieżą PGR-u i pomagać jej w pracy politycznej i kulturalnej przez wysyłanie odpowiednich materiałów. To jednak nie wystarczy. Najwyższy czas, aby instancje ZMP z powiatu i zespołu zapewniły pełną pomoc dla młodzieży tak, aby mogła ona kontynuować dobrą pracę kulturalną i świetlicową.

Beg.

Gazetka gminna

Gienia — aktywistka

Podajemy wniosek nagły, żeby koniecznie wyróżnić sklepową Gminnej Spółdzielni w Drużbicku, pow. Piotrków Trybunalski — ob. Genowefę Stręgiel. Zastąpiła się kobieta dzielnie przy żniwach. W gminie tałe chłopcy, którzy jej tych zasług nie zapomną do końca życia. I co godne podkreślenia — kosa nie machała, nikt jej w polu nie widział. W sklepie też bardzo rzadko. Wcale nie żartujemy, ta nieobecność bardzo dobrze wpływa na przebieg żniw.

Bo i pomysł ten! Jasne to przecież nie wysiadzie — więcej w polu robi. Nie kupi mydła, to i czasu na mycie nie straci. Nawet wtedy, gdy po osiekę przyleci, czy sznurkę do sznorka, a nie dostanie — korzyść z tego wielka. Kosa żywiej musi ruszać, powrócą kręcić — stąd krzepa w narodzie większa.

— Ale — trzeba to przyznać — ob. Genowefa bywała od czasu do czasu w sklepie. Obecność jej takie przynosiła znaczne korzyści. Przytłę chłop po piwo — usłysz: — Opiesz się jak bąk, chętna do roboty ciebie odciąć, współzawodnictwa przez ciebie nie wygramy. I koniec z piwem.

Widać tedy na przykładzie dzielnej Genowefy, że kiedy jest dobra wola, nawet brak możliwości zaopatrzenia się w to co tamto, wychodzi na dobre.

I także więc nie zabiegaj o wyróżnienie dzielnej sklepowej! Można by to zrobić tak: ogłosić artykuł w Gazecie Gminnej, obudzić senny PZGS w Piotrkowie. Niechże zamieni ob. Genowefę w zwykłego śmiertelnika i na 10 lat poleci zaopatrywać się w sklepie prowadzonym jej metodą. Stanowczo na taką przyjemność nasza aktywistka zasłużyła.

JAN WICHURA

(Na podstawie listu mieszkańca Drużbicki. Nazwisko znane redakcji.)



Rys. St. Szmidt

Dobry pomysł

Jakbyście się kiedy wybrali w powiat I sieradzki, a przy tej okazji zawadzili o gromady Bukowiec, Chajew i Giesin to — postuchacie naszej rady — nie pytajcie chłopów co słychać, bo wyniknie nader głupia sytuacja. Widzicie — oni naprawdę nie nie wiedzą. Spytacie — co w gazetach, a oni do was: A co to jest gazeta? Zagadnienie o rodzinie, krewnych z dalekich miast — ta sama historia — ani be ani me. Zapomnieli jak wygląda list i znaczek pocztowy.

Coś niecoś wiedz o tych sprawach jedynie małoletni dzieci. Dziele się tak dlatego, że listonosz ob. Stanecki Czesław wpadł na dobry pomysł. Rzeczywiście, po co się taki jeden z drugim pieciolatek ma w plasku grzebić, kiedy może upowszechnić kulturę. No i upowszechnia. Co dzień rano pan Stanecki, chwytając się lekko na nogach i szeroko gestykulując, wręcza rozentuzumowanym dzieciom plik zaprenumerowanych gazet i listy.

— Roznieście to eep, po świecie... eeeppp, moje sokoliki!

A dziećmiom to w graj! Objeżdżaj obrazki, zmagaj się papierowe chemy, poc-

drywają znaczki, w polu przykuca, chrustu nioszą i reszta poczyt zapala piękne ognisko. Rzecz prosta trudno pisać Staneckiego obarczać odpowiedzialnością za brak odpowiedzialności u dzieci. I nie o to zresztą idzie, lecz o doskonały pomysł zaktualizowania najmłodszych.

Warto tu dodać, że gromada dokłada do tej aktywizacji ładny grosz. Widzicie — rzecz ma się tak, że listonoszowi skaczą po głowie genialne pomysły, kiedy sobie porządnie pocnie. Najmnie litr na jedno posiedzenie. Posiedzeń zaś odbywa zarywając kółka w tygodniu, więc też sobie pokrywa koszty z pieniędzy, jakie powinny nadejść do chłopów poczta.

Ośmiemy teraz spokojnie pomysł pana listonosza. Ma on poważną zaletę: szkółka jest kadry, może którejś z dzieci zastąpi Staneckiego jak podrośnie. Za długo czekać — powiadacie. Tak, to prawda, ale nie ma innego wyjścia. Nie wierzcie? Zapytajcie się w Powiatowym Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym w Sieradzu.

JERZY SMUTNY

Nie wszystko jeszcze zginęło...

Chłopi z gromady Danielów, pow. Piotrków Trybunalski twierdzą, że urodzili się pod smutną, błędną gwiazdą. Prześladuje ich bowiem pech: wszystko we wsi ginie, a już osobliwie gromadzkie pieniądze.

Była jeszcze za poprzedniego sołtysa spora grupa kulaków we wsi. Nie masz ich dzisiaj, jeżeli wierzyć księgom gminnym. Po prostu takim, jak Trześniak, Krzyczek, trzej bracia Tarnecy zaginęła ziemia. A przecież ludzie gotowi rinać na boża, że jeszcze niedawno temu mieli solidne gospodarstwa, liczące od 15 do 20 ha. Tyle może na swym zagrobieu skorzystali, że podatki płać mniejsze.

Albo wzięli stynne polowanie na dziki w rejonie Danielowa. Zwierzyna czyniła poważne szkody, ubili tedy chłopci jemalno sztuk i sprzedali, ale pieniądze gdzieś się ulotniły. Sołtyś powiada, że papierki zżarły pozostałe przy życiu dziki przez zębsto. Ale nie wiadomo czy to prawda.

Inny przykład. Chłopi co do grosza wpłacili samopomocowe składki na rzecz sołtysa. Długo miejsca w kasie nie zagrali. Ulotniły się cicho, bez szumu i tyle.

No, a ostatnio zaszły wypadek jeszcze bardziej przykry. Kwatrowało we wsi nasze wojsko ludowe. Żołnierze pomagali w pracach polowych, ożywił życie kulturalne. Z wdzięczności postanowili danielowscy zakupić dla żołnierzy krowę. Krowa wprawdzie nie zginęła, bo jej nie było, przepadły natomiast zabrane przez chłopów pieniądze.

Tak więc — sami to widzicie — w Danielowie wszystko ginie. Jeden tylko sprawca całego zła — sołtyś Trześniak w żaden sposób przeprosić nie chce. A przecież powinien i on zaginać dla podtrzymania tradycji i dla dobra gromady również.

JAN BIEGAŁA

(Na podstawie listu mieszkańca Danielowa. Nazwisko znane redakcji.)

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-80-81.

Adres redakcji: Warszawa, pl. Starzyńskiego nr 7

Telefony: Red. Nacz. 883-86 Redakcji 87081, wewnętrzny 5, 73, 8.

Warunki prenumeraty:

mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13.80 zł, półrocznie — 27.60 zł, rocznie — 55.20 zł.

Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW „PRASA”. Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 4-B-19518

Wiesław Jażdżyński